Rok II. **Lwów, dnia 1 lipca 1896.** **Nr. 13.**

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata w monarchii austryacko-węgierskiej wynosi rocznie 10 koron, półrocznie 5 koron.

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Maurycego Mochnackiego (Garncarska), 12.

Od dnia 15 lipca redakcya i administracya będzie się mieściła **przy ulicy Antoniego Małeckiego, l. 3.**

ADWOKACI ZŁEJ SPRAWY.

Wspominany przez nas kilkakrotnie organ ks. Uchtomskiego, *St. Pieterburgskija Wiedomosti*, zamieścił artykuł, pierwszy bodaj raz w prasie rosyjskiej rzucający właściwe światło na stan nauki języka polskiego w szkołach Kongresówki. »Czy młodzieży polskiej w *kraju prywiślańskim* wolno uczyć się języka ojczystego?« — oto pytanie, które autor postawił w nagłówku swego artykułu i na które — biorąc rzecz sumiennie — nie mógł znaleść twierdzącej odpowiedzi. Przypomniawszy na wstępie, że program wykładu języka i literatury polskiej w gimnazyach męskich i żeńskich okręgu naukowego warszawskiego, wydany na mocy rozporządzenia kuratoryi warszawskiej, dotychczas w drodze właściwej nie został zmieniony i powinien obowiązywać, że w roku 1892 utworzono na uniwersytecie warszawskim katedrę literatury polskiej i powiększono liczbę godzin tego języka w szkołach, co widocznie miało na celu wzmocnienie wykładu języka polskiego w zakładach naukowych okręgu, autor wykazuje, że władza miejscowa w osobie Apuchtina, działająca różnymi środkami administracyjnymi, zrobiła, co mogła, żeby odebrać temu wykładowi wszelkie znaczenie. Dowodów na to dostarcza wydana w swoim czasie broszura rosyjska: »W dniu jubileuszu A. L. Apuchtina«, napisana przez jednego z wielbicieli kuratora, i wyliczająca środki, którymi działał »zasłużony« rusyfikator. Wydał on przedewszystkiem rozporządzenie, ażeby język polski wykładano po rosyjsku, ażeby nauczyciele nie ważyli się nawet pomagać sobie językiem polskim; następnie zabronił używać podręczników historyi literatury polskiej, pozwalając wyłącznie używać ułożonych na jego polecenie wypisów historyczno-literackich T. Wierzbowskiego, które to wypisy w następstwie także usunął, pozostawiając wykład bez podręcznika i jednocześnie zabraniając nauczycielom dyktowania, a uczniom robienia notatek; wreszcie nakazał ograniczyć naukę języka polskiego wyłącznie do tłómaczenia z języka polskiego na rosyjski na podstawie wypisów Dubrowskiego. Wskazawszy to wszystko autor artykułu kończy go następującemi słowy: »Tym sposobem język polski i historya literatury polskiej, jako przedmioty nauki, faktycznie usunięto środkami administracyjnymi z zakładów naukowych warszawskiego okręgu naukowego, wbrew woli najwyższej i niewątpliwej treści rozporządzeń rządowych. Czyż to objaw normalny?«.

Na artykuł ten należało się spodziewać odpowiedzi ze strony interesowanej. Ukazała się też ona w *Warsz Dniewniku*, w artykule zaczynającym się od zaznaczenia, że niektóre artykuły *St. Piet. Wiedomosti* muszą być pisane przez »jednego z wielbicieli i stronników hr. Leliwy«, a zakończonym słowami Aksakowa, wypowiedzianemi z powodn wystąpień prasy rosyjskiej przeciw osławionemu Murawjewowi: »Nietyle jest niebezpiecznym dla Rosyi patryotyzm polski, ile brak patryotyzmu u znacznąj części rosyjskich »inteligentów«, ile odstępstwo narodowe, w skutkach praktycznych równające się zdradzie rosyjskich interesów narodowych i państwowych«. Obrońca Apuchtina, podpisany skromnie literą »A.«, używa wszelkich sposobów żeby dowieść, iż organ ks. Uchtomskiego kłamie, że rozporządzenia władz centralnych na które powołano się w *St. Piet. Wiedomostiach* nie istnieją albo zostały przekręcone, że jednem słowem wszystko co zrobił Apuchtin jest w całkowitej zgodzie, z życzeniami i postanowieniami władzy wyższej *).

Zabezpieczając się na przyszłość od potrzeby obrony zapowiedzią, że wszelkie następne odkrycia ks. Uchtomskiego będą przyjmowane milczeniem, publicysta z *Warsz. Dniewnika* rzuca swą strzałę Parta w następujących słowach:

»Tak tedy, ks. Uchtomski, który nigdy nie bywał w kraju tutejszym, martwi się, iż rząd w osobie swoich gorliwych nad miarę działaczy, dąży jakoby do starcia języka polskiego z oblicza ziemi.

»A czy wydawca *St Piet. Wied.* wie, że liczba wydawnictw peryodycznych w Warszawie przewyższa liczbę ich w Moskwie i nie ustępuje w ilości petersburskim?

»A czy czytał on w *Prawitielstwiennym Wiestniku* spis wydawnictw w języku polskim, zamieszczonych w oddziale »Ukaziciela prasowego«; jeżeli nie czytał, to niech kiedykolwiek zajrzy, ażeby się przekonać, jaką ilość książek polskich drukują corocznie we wszystkich drukarniach kraju tutejszego? A teatry polskie subsy-

*) Znalazłszy w cytacie *St. Piet. Wied.* jakąś istotną, czy mniemaną niedokładność (tego nie możemy na razie stwierdzić), powiada on:

„Jak się państwu podoba ten sposób, niestety z takiem powodzeniem zastosowany przez hr. Leliwę. Czytelnicy tej broszury między innemi mówili: „Zlitujcie się, on się powołuje nietylko na daty, ale i na numery papierów!“ Ale czy zadawał sobie kto pracę sprawdzić rzetelność tych powoływań się?“

Tym sposobem ów p. A. z właściwą rosyjskim czynownikom „odwagą“, która w zachodniej Europie nazywa się bezczelnością, stara się podać w wątpliwość istnienie dokumentów, na które się hr. Leliwa powołuje lub które przytacza. Nic go to nie obchodzi, że każdy na to może postawić pytanie: jeżeli hr. Leliwa pofałszował dokumenty i cytaty, to czemu rząd rosyjski nie zaprzeczył publicznie ich autentyczności?..

dyonowane w Warszawie przez rząd? A masa prywatnych towarzystw dramatycznych, dających przedstawienia we wszystkich miastach *kraju prywiślańskiego?* A odczyty publiczne i publiczne wykłady specyalne? A pozwolenie sądom gminnym na ustną procedurę w języku polskim?

»Czyż są to wszystko środki dążące do wykorzenienia języka polskiego?«

Tyle strony polemizujące.

Jeżeli organ ks. Uchtomskiego miał zamiar przekonać świat, że petersburskie władze centralne wogóle, a ministerstwo oświaty w szczególności najlepsze mają chęci w sprawie nauki języka polskiego w szkołach Kongresówki, że w zamiarach ich nie leżało i nie leży wyparcie tego przedmiotu z programu nauk, a dzisiejsze, nikczemne wprost traktowanie naszej mowy w szkołach jest wyłącznie dziełem Apuchtina, to niepodobna nam jego założeń bronić. Nie mówiąc już o odebraniu językowi polskiemu roli wykładowego, która mu się w szkołach na ziemi polskiej należy i do której prędzej, czy później, w jakichkolwiek warunkach musi powrócić, wiemy dobrze, iż decyzyą ministeryalną naukę języka polskiego zrobiono przedmiotem nieobowiązkowym, t. j. przedmiotem, którego można się uczyć lub nie, i z którego postępy nie wpływają na przejście do klasy wyższej. Takie zachowanie się władz wyższych wobec przedmiotu najważniejszego dla uczniów polskich zawierało już w sobie wskazówkę dla działaczów rządowych na miejscu, jakie w tym względzie stanowisko mają zajmować. Jeżeli nadto weźmiemy pod uwagę, że program ministeryalny, ułożony dla wszystkich przedmiotów wykładanych, dla języka polskiego nie istnieje, że ministeryum w swej kontroli działalności szkół przedmiot ten całkiem ignoruje, że kurator w sprawozdaniach swych dla ministeryum nie ma wcale obowiązku tego przedmiotu uwzględniać, to musimy się zgodzić, że w sprawie nauki języka polskiego kuratorowi okręgu naukowego warszawskiego dano niejako *carte blanche*, pozwolono mu, jak głosi termin techniczny *„poguljat'“*. Tego rodzaju liberalizm u władz rosyjskich, pomimo całego ich despotyzmu, często bywa praktykowany: przecie i Suworow swego czasu na Pradze, a niedawno Klingenberg w Krożach także dał kozakom *carte blanche!* System rządu w sprawie języka polskiego w szkołach od czasu ukazów jugenheimskich jest zawsze jeden: wypierać coraz bardziej ten język, pozostawiając w prześladowaniu go wykonawcom na miejscu jak najszerszą swobodę. Jedyna chwila, kiedy pod tym względem dał się czuć początek jakiegoś zwrotu, był to koniec panowania Aleksandra II. Wtedy to ustanowiono na uniwersytecie katedrę literatury polskiej i pomnożono w gimnazyach liczbę godzin języka polskiego.

Po tej krótkiej wszakże chwili przyszła znowu reakcya, cięższa jeszcze, trwająca po dziś dzień bez przerwy. *St. Piet. Wiedomosti* mają słuszność, twierdząc, że Apuchtin zniósł właściwie naukę języka polskiego, ale mylą się, przypisując to dzieło wyłącznie jemu, i łudzą się, sądząc, iż rząd ma wręcz przeciwne intencye.

Jeżeli z pewnej strony zarzucamy ten błąd dziennikowi petersburskiemu, to z drugiej, przyznajemy mu dobrą wolę w podniesieniu słusznej sprawy i zgodne z rzeczywistością przedstawienie dzisiejszego stanu nauki języka polskiego. Inna rzecz z obrońcą Apuchtina, w *Warsz. Dniewniku.* Temu ani dobrej woli, ani dobrej wiary nikt przyznać nie może. Usiłuje on wykazać, że:

1) wszystko, co w sprawie nauki języka polskiego zrobił Apuchtin, wypływa z rozporządzeń władz wyższych;

2) że z tem wszystkiem rząd rosyjski nie dąży do »starcia języka polskiego z oblicza ziemi«.

Przedewszystkiem, wiadomo dobrze, iż do czasu objęcia zarządu okręgu przez Apuchtina język polski był w szkołach naszych wykładany po polsku. Za jego zaś gospodarki zaczęto go wykładać po rosyjsku, pomimo że z góry żadne nowe rozporządzenie w tej sprawie nie wyszło. Niedość na tem, zaczęto tak surowo przestrzegać, ażeby języka polskiego nie używano do wykładu, iż są wypadki prześladowania nauczyciela za jedno zdanie polskie, podsłuchane u drzwi podczas jego lekcyi przez inspektora gimnazyum. Wykład języka polskiego po rosyjsku Apuchtin wprowadził nietylko do gimnazyów i szkół realnych, ale, o ile się dało, i do szkół ludowych, mianowicie do szkół elementarnych miejskich, gdzie zasad mowy polskiej naucza często Rosyanin, zaledwie rozumiejący nasz język. Jeżeli nie dzieje się to w szkołach ludowych, to tylko ze względu na trudność, jaką przedstawiają surowe, niedość giętkie umysły uczniów, pierwszy raz spotykające się z językiem »szerszej ojczyzny« *).

Jest zaś faktem niewątpliwym, że właśnie wtedy, gdy z Petersburga przyszło rozporządzenie o powiększeniu liczby godzin języka polskiego w gimnazyach i szkołach realnych, Apuchtin ze szczególną energią wziął się do pilnowania, ażeby wykładano ten przedmiot wyłącznie po rosyjsku, i wtedy, jeżeli się nie mylimy, wprowadzono po raz pierwszy w wykonanie jego »genialny« pomysł użycia godzin języka polskiego na tłómaczenie z języka polskiego na rosyjski. Była to właśnie chwila, kiedy najbardziej się w sprawie języka polskiego uwydatniła inicyatywa Apuchtina i dążenie jego do odjęcia wszelkiego znaczenia rozporządzeniom przychodzącym z góry, o ile one się jego systemowi sprzeciwiają.

Przed objęciem rządów przez Apuchtina godzin języka polskiego używano na naukę gramatyki, teoryi stylu, historyi literatury, na wszelkiego rodzaju ćwiczenia piśmienne i t. d., jednem słowem, nauczano tego języka tak, jak się naucza innych, z tą różnicą, że skąpo na tę naukę wydzielano czas w programie i że uczyniono ją przedmiotem nieobowiązkowym. Apuchtin, z chwilą zajęcia swego stanowiska, a właściwie z chwilą umocnienia się na niem, zabronił nauczycielom używania w niższych klasach wypisów (używano Łukomskiego, Bądzkiewicza i innych) podręczników gramatyki (używano Małeckiego), historyi literatury; polecił Wierzbowskiemu ułożenie wypisów z tytułami i biografiami autorów w języku rosyjskim, narzucił te wypisy nauczycielom, potem zaś przekonawszy się, że można z nich czegoś

---

*) Na twierdzenie *St. Piet. Wiedomosti*, iż Apuchtin rozporządził, ażeby język polski wykładano po rosyjsku, poczynając od szkół elementarnych, obrońca Apuchtina odpowiada, iż twierdzenie to jest „poprostu zmyślone“, argumentując z pocieszną bezczelnością, że nikt nie mógł podobnego kroku zrobić wobec istnienia „całkiem określonej“ w tym względzie ustawy, mianowicie „Najwyższej zatwierdzonej opinii Rady Państwa“ z dnia 5 marca 1885 r., gdzie powiedziano: „We wszystkich szkołach ludowych nauczanie odbywa się w języku rosyjskim z wyjątkiem religii i języka przyrodzonego (*prirodnawo*) uczniów, ktore mogą być wykładane także i w tym ostatnim języku“. Otóż pomimo tej „całkiem określonej“ (*„które mogą być mykładane także i...“*) ustawy, faktem jest że Apuchtin rozkazał w szkołach ludowych miejskich, a w miarę możności i w wiejskich wykładać język polski po rosyjsku,

nauczyć, zakazał ich używania i pozostawił w końcu nauczycielom, jako jedyny dozwolony podręcznik, wypisy w trzech częściach, ułożone przez Dubrowskiego, Rosyanina, książkę bez żadnej wartości, pełną błędów, mającą wszystkie znamiona niezdarnie ułożonego podręcznika... dla Rosyan. Następnie zabronił uczyć historyi literatury, kazał ograniczyć ćwiczenia piśmienne, usunął naukę gramatyki, wreszcie zakomunikował nauczycielom, że nauka języka polskiego ma się odbywać wyłącznie przez tłómaczenie z języka polskiego na rosyjski. Znany jest fakt wydalenia z gimnazyum II w Warszawie nauczyciela Plenkiewicza za to, że uczył gramatyki polskiej. Nikt chyba nie będzie twierdził, że zasadzenie młodzieży polskiej do tłómaczenia z języka polskiego na rosyjski jest nauką języka polskiego! Trzeba dodać, iż nauczycielom najwyraźniej kazano ześrodkować uwagę na tem, ażeby uczniowie tłómaczyli prawidłowym językiem rosyjskim. Chyba nikomu nie trzeba dowodzić, że tym sposobem Apuchtin zniósł naukę języka polskiego, że godzin nań przeznaczonych użył na ćwiczenia pomocnicze przy nauce języka rosyjskiego. Uczynił to z własnej inicyatywy, samowolnie, bo żadnych w tym kierunku rozporządzeń z góry nie miał, a jedyna okoliczność uprawniająca go do tego, była, że program ministeryalny nauki języka polskiego nie istnieje.

Nie mówimy już o rzeczach, których wogóle ustawami się nie obejmuje, jak usunięcie ze stanowisk nauczycieli języka polskiego specyalistów oraz dobrych pedagogów i powierzenie ich ludziom bez wykształcenia, nie umiejącym nieraz mówić prawidłowo po polsku, czasami nawet Rosyanom lub osobistościom, wzbudzającym u młodzieży pogardę swym niskim poziomem moralnym; jak wyznaczanie na język polski godzin pozaplanowych (od 8 do 9 rano, od $2\frac{1}{2}$ do $3\frac{1}{2}$ popołudniu), ażeby zniechęcić uczniów do uczęszczania na ten przedmiot i t. d. i t. d.

Przypomnieliśmy tu treściwie zasługi działacza »ocenione w ciągu trzech panowań«, jak się wyraża jego adwokat, nie dlatego, żeby ostatniego przekonać, bo on tego nie potrzebuje, ale żeby wykazać, jak daleko zachodzi bezczelność urzędowych publicystów, jak wielce można się liczyć z tem, co drukuje taki *Warszawskij Dniewnik*. Kłamstwo, wygłaszane z wielką pewnością siebie, zawsze znajdzie ludzi, którzy choć w części wezmą je za dobrą monetę. Na to też pewnie liczył autor powyższej apologii, przytaczając argumenty na poparcie twierdzenia, iż rząd rosyjski nie tępi języka polskiego.

Dotychczas urzędowa prasa rosyjska, gdy podnoszono sprawę prześladowania Polaków przez rząd carski, milczała najchętniej o sprawach językowych, a podnosiła ekonomiczny dobrobyt Królestwa, wzrastający pod rządem rosyjskim, głosząc, iż dobrobyt ten jest zasługą rządu rosyjskiego, który nie tylko nie stawia przeszkód rozwojowi ekonomicznemu Kongresówki, ale się o niego stara. Logika publicystów urzędowych i broniących rządowej polityki mówi: ponieważ dobrobyt jest, przeto zawdzięcza się go rządowi. Choć bije w oczy cały szereg faktów, świadczących, iż rząd wszelkimi sposobami stara się krzywdzić kresy, a w szczególności Królestwo, na rzecz prowincyi rdzennie rosyjskich, nic to jednak nie pomaga, bo urzędowa publicystyka ma przywilej na przemilczanie tego, co jej jest niedogodne. Trzyma się ona wiecznie starej metody polegającej na tem, że gdy coś dobrego dzieje się pomimo rządu lub wbrew jego życzeniom i dążnościom, głosi się, iż dzieje się to dzięki rządowi.

Tego samego sposobu chwycił się obecnie publicysta z *Warsz. Dniewnika*, w celu dowiedzenia — ktoby się spodziewał! — że język polski w zaborze rosyjskim nie jest prześladowany. Dowody jego w tym celu zasługują na bliższą uwagę.

Podał on szereg faktów, mających świadczyć o tem, że umysłowość polska w zaborze rosyjskim kwitnie, że zatem nie jest uciskana.

Przypuśćmy, że publicysta urzędowy podał fakty prawdziwe, że liczba czasopism w Warszawie rzeczywiście bardzo jest wysoką, że ilość książek wychodzących po polsku w państwie rosyjskiem jest istotnie wielką, że odbywa się wiele odczytów polskich i t. d. — czegoż to wszystko dowodzi?... Tego tylko, że społeczeństwo polskie posiada pewien stopień siły kulturalnej. Nie o to chodzi, czy w Warszawie istnieją czasopisma polskie, czy nie — one muszą istnieć, bo są cywilizowanym ludziom tak do życia potrzebne, jak powietrze, zniesienie ich, niemożliwe zresztą, byłoby ni mniej, ni więcej, tylko rewolucyą; — nie o to także, czy ich jest mniej, czy więcej, aniżeli w Moskwie, bo to jest kwestya rozwoju życia społecznego i różnicy potrzeb umysłowych w Polsce i Wielkorosyi; — ale o to, jak się wobec prasy zachowują organy rządowe. Niech nam *Warsz. Dniewnik* wytłómaczy, co mówi fakt, że pismu nie wolno zniżać ceny prenumeracyjnej po za pewne minimum? lub ten, że otrzymanie koncesyi na nowe pismo polskie jest prawie niemożliwe, w najlepszym zaś razie wymaga kosztów, przed którymi przeciętny wydawca musi się cofnąć? że w wielkiem mieście fabrycznem Łodzi zamknięto bez należytych motywów jedyne pismo polskie i zadecydowano nie dawać zezwolenia na założenie nowego, a natomiast pozwala się wychodzić tam pismom niemieckim i proteguje niedawno założoną gazetę rosyjską? że w ogóle pisma prowincyonalne znosi się całkiem lub odmawia im prawa pisania o polityce zagranicznej? Nie mówimy już o Litwie, gdzie niema ani jednego pisma polskiego, bo wydawać go nie wolno, nie zwracamy uwagi na ucisk cenzuralny, odbierający prasie polskiej wszelką możność rozwoju. Czyż wszystko to dowodzi tolerancyi dla języka polskiego i dla polskiej umysłowości?

To samo z większą jeszcze słusznością można powiedzieć o dowodzie, spoczywającym w liczbie drukowanych obecnie książek polskich, o ile ta rzeczywiście jest wysoka. W obu razach mamy dwie wielkości warunkujące liczbę pism i książek: po pierwsze siłę kulturalną społeczeństwa, po drugie stopień ucisku rządowego; rezultat liczbowy znajduje się w prostym stosunku do pierwszej, w odwrotnym do drugiego. Zła wiara rosyjskiego publicysty polega na całkowitem pomijaniu pierwszej wielkości.

Wszystko to mówimy na wypadek, gdyby fakty przytoczone przez tego pana były prawdziwe, gdybyśmy rzeczywiście stwierdzali pomyślny rozwój prasy i piśmiennictwa w zaborze rosyjskim? Tymczasem, cóż widzimy?...

W Warszawie wychodzi pism 60. Może to jest dla rosyjskiego publicysty dużo, ale my nie mamy żadnego prawa z tem jego czysto osobistem zdaniem liczyć się lub porównywać Warszawy z Moskwą, tak odmienną pod względem stopnia i rodzaju kultury. Natomiast widzimy, że przy dzisiejszym szybkim nader rozwoju prasy we wszystkich krajach, liczba pism w Warszawie od lat dziesięciu wcale nie wzrasta, a nawet spada, zwłaszcza, jeżeli brać w rachubę całe Królestwo. Ponieważ tego rezultatu nie można przypisać upadkowi życia ekonomicznego w kraju, bo,

*

przeciwnie, to życie się rozwija, przeto jedynem wytłómaczeniem faktu jest ucisk rządowy, świadome dążenie władz do stopniowego zabicia naszego dziennikarstwa. Zresztą, jeżeli się już mamy bawić w porównania, to najlepiej się do tego nadaje Galicya. Prowincya to bez porównania uboższa od Królestwa, stojąca na niższym stopniu rozwoju kulturalnego, mająca zaledwie w zarodku przemysł i handel, te dwa niezmiernie ważne czynniki rozwoju prasy, wreszcie licząca o 2 miliony mniej mieszkańców i nie mająca pod bokiem takiego rynku zbytu, jak pozbawiona własnej prasy Litwa z Wołyniem, Podolem, Ukrainą, jak liczne wychodztwo polskie w Rosyi. I cóż?... Ta właśnie Galicya, ze swoją okrzyczaną nędzą, liczy przeszło dwa razy tyle czasopism, co Królestwo. Jeżeli zaś chodzi o gazety codzienne, to gdy Warszawa ma ich 9, Kraków ze Lwowem liczą obecnie 10, przy względnym rozwoju prasy prowincyonalnej, zabitej całkiem w Kongresówce. Pod panowaniem pruskiem, gdzie ludności polskiej jest trzy razy mniej, niż w zaborze rosyjskim, liczba wychodzących pism polskich niewiele ustępuje liczbie warszawskich, a wkrótce pewnie jej dorówna. Zestawienia te więcej mówią, aniżeli porównywanie Warszawy z Moskwą.

O liczbie książek to samo całkiem powiedzieć można. Na ostatniej wystawie lwowskiej, w pawilonie Akademii Umiejętności wszyscy mieli możność oglądać tablice przedstawiające ruch wydawniczy polski w trzech zaborach. Dowiedzieliśmy się z nich, że zabór rosyjski zajmował do r. 1885 pierwsze miejsce pod względem liczby wydawanych książek, że od tego czasu pierwszeństwo to przeszło do Galicyi, że różnica na korzyść ostatniej ciągle wzrasta, że obecnie w tej ubogiej, oczernianej stale przez prasę rosyjską prowincyi wychodzi o 50% książek więcej, niż w zaborze rosyjskim.

Faktem tedy jest, że liczba pism i książek wychodzących w zaborze rosyjskim, absolutnie lub względnie do liczby mieszkańców i do liczby wydawnictw innych dzielnic, w ostatnich czasach stale spada. Jak powiedzieliśmy, rezultat ten zależy od dwóch czynników: od siły kulturalnej i od stopnia ucisku rządowego. Ponieważ zaś pod względem kulturalnym Kongresówka idzie stale naprzód, ponieważ rozwój przemysłu i handlu ciągle postępuje, oświata wzrasta — faktom tym chyba nikt nie zaprzeczy — przeto i prasa i piśmiennictwo pod względem ilościowym winny szybko wzrastać. Jeżeli zaś dzieje się przeciwnie, to logika nakazuje przypisać to działaniu drugiego czynnika, mianowicie ucisku rządowego, który musiał szalenie się zwiększyć. Oto czego uczą nas cyfry, gdy tego potrzebujemy, gdy zamykamy oczy na bezpośrednio nam znany system ucisku, na cały szereg faktów tego ucisku, znanych powszechnie.

Reszta dowodów publicysty urzędowego ma tę samą wartość. Nie rozwodząc się nad nimi dłużej, przypomnimy tylko, co następuje: teatr polski istotnie, pobiera subwencyę rządową, ale właśnie w r. z. warszawskie *Słowo* wykazało, że subwencya ta jest fikcyjną, fundusz bowiem pochodzi z polskiego źródła, a zresztą idzie na pokrycie kosztów utrzymania baletu, niepotrzebnego zbytku, któryby już dawno zniesiono, gdyby ministeryum dworu carskiego na to pozwoliło; istnieje w Kongresówce kilka prywatnych trup dramatycznych polskich, ale istnienie ich dowodzi tylko tego, co istnie nie gazet, mianowicie, że są niezbędne, że zniesienie ich byłoby zbyt wielkiem zakłóceniem normalnych stosunków społecznych; odbywają się w Warszawie odczyty (bardzo rzadko i o przedmiotach specyalnych, bez możności poruszania kwestyi żywotniejszych), ale ci, co je urządzają, mogliby nam sporo opowiedzieć, ile trudności dla jednego odczytu trzeba przezwyciężyć, ile się nachodzić po kancelaryach, ile miesięcy czekać na ocenzurowanie odczytu raz w komitecie cenzury, drugi raz w kuratoryum okręgu naukowego, które każe sobie składać odczyt w przekładzie na język rosyjski. Jeżeli zaś, co zgodnie z rzeczywistością, choć w bardzo nieokreślony sposób podnosi autor artykułu, w procedurze ustnej sądów gminnych dozwolony jest język polski, to trzeba pamiętać, że: 1) sędzia ma prawo zwracać się po polsku tylko do stron, o ile te nie rozumieją po rosyjsku, z samym zaś składem sądu t. j. z ławnikami i sekretarzem sądu musi mówić po rosyjsku, 2) że ustępstwo to wywołane jest koniecznością, lud nasz bowiem języka rosyjskiego całkiem nie rozumie, wprowadzenie zaś instytucyi tłómaczów w trudnej i tak praktyce sądów gminnych powikłałoby do niemożliwości całą procedurę.

Oto jak wygląda opieka, roztoczona przez rząd rosyjski nad naszym językiem. Dotknęliśmy tylko stosunków, poruszonych w artykule *Warsz. Dniewnika*, ażeby sprostować przekręcone fakty i wykazać jego przewrotność w oświetlaniu naszych stosunków. Nie odkryliśmy nic nowego, organ ten bowiem nigdy naszych stosunków sumiennie nie traktował, zawsze kierował się kłamstwem. Dziś atoli odzywa się on czasem z nowego tonu, zachęcając Polaków do postępowania ugodowego, radząc im starać się o wzbudzenie w sferach rządowych zaufania do społeczeństwa. Są też u nas ludzie, przypisujący podobnym odezwaniom się poważne znaczenie. Otóż, uprzytomnienie całej przewrotności i złej wiary, jaka tkwi w artykułach, podobnych do wyżej ocenionego, winno naszemu ogółowi wskazać, ile wagi można przywiązywać do wszelkich innych głosów, pochodzących z tego samego źródła.

OŚWIATA LUDU W GALICYI.

I. „Szkoła ludowa".

(Ciąg dalszy).

Wspomnieliśmy poprzednio, że Towarzystwo szkoły ludowej wśród wyjątkowo szczęśliwych okoliczności powstało i rozpoczęło swą działalność. Wielkiemi rocznicami wywołane wspomnienia początków naszej niewoli, podnosząc poziom uczuć patryotycznych, sprzyjały również pracom, którym z natury rzeczy jedynie ofiarność ogółu dać mogła podstawy urzeczywistnienia i dokonania dzieł naprawdę wielkich a trwałych. Roiło się założycielom Towarzystwa, że łatwo pociągną za sobą masy i stworzą prawdziwą potęgę. »Wszak, do licha — mówiono sobie — powinno się znaleźć w kraju bodaj na razie sto tysięcy takich, którym niska, roczna wkładka (1 zł.) nie sprawi uszczerbku i nie będzie ofiarą; a za pierwszą krocią pójdą wnet dalsze«. Tak mówił z najlepszej niewątpliwie wiary we własne siły wysnuty, a do przesady skłonny optymizm, nie liczący się z faktycznym stanem i usposobieniem społeczeństwa, nie chcący zrozumieć, że co łatwe i naturalne gdzieindziej, u nas niestety bywa często niemożliwem lub z niemożliwością graniczy. Bądź co bądź jednak, rozwój Towarzystwa zapowiadał się w pierwszych chwilach znakomicie, a hasło rzucone z Krakowa, niezwykle silnem echem odbiło się po całym kraju. W kilku

miesiącach powstają 33 koła miejscowe, między niemi dwa na Śląsku i dwa na Bukowinie. Ludzi z pozoru obojętnych ogarnia szczery zapał do pracy, coraz to szersze zatacza kręgi i zdaje się tu i owdzie przybierać cechy szlachetnej, zaraźliwej gorączki. Liczba członków w mgnieniu oka niemal dochodzi do poważnej, — jak na Galicyę i jak na początek — cyfry pięciu tysięcy, a z wkładek i drobnych przeważnie ofiar, powstaje spory zawiązek kapitału, który już w roku 1893, zasilony wspaniałym darem (10.000 zł) znanego z swej ofiarności na cele narodowe, zamieszkałego podówczas jeszcze w Ameryce, rodaka naszego Erazma Jerzmanowskiego, przekracza kwotę 20.000 zł. i utrwala materyalną podstawę bytu Towarzystwa. Wszystko to, choć do »kroci« jeszcze dalekie, świadczy niewątpliwie o niemałym zasobie patryotycznego zdrowia w naszem społeczeństwie. »Dzięki energii zarządów kół i poparciu prasy — czytamy w pierwszem sprawozdaniu — udało się Zarządowi głównemu obudzić niezwykłą u nas ofiarność na cele Towarzystwa. Ofiarność ta rośnie z dniem każdym, obejmuje coraz szersze koła, sięga coraz głębiej i każe spodziewać się, że Towarzystwo posiadać będzie dość środków, aby sprostać swoim obowiązkom.«

Niestety, pokazało się znowu, poraz już niewiadomo który, że z chwilowych porywów nic jeszcze u nas sądzić nie można, ani rokować na przyszłość.

W stosunkowo nader krótkim czasie rozwój Towarzystwa szkoły ludowej słabnie, zapał omdlewa, a tryskające do niedawna źródło ofiarności sączy się coraz powolniej. W roku 1893 nowych kół tworzy się piętnaście, liczba członków wzrasta zaledwie o 1800, w następnym jeszcze gorzej, dwa koła dawniejsze rozwiązują się, nowych powstaje tylko cztery, członków przybywa 600. Odbija się to fatalnie na dochodach Towarzystwa, które w r. 1893 wynosiły ogółem przeszło 40.000 zł., a w r. 1894 spadają do cyfry dwudziestu czterech tysięcy kilkuset zł. W następstwie także działalność instytucyi zamiast pogłębiać się i rozszerzać, ograniczać się musi do minimalnych rozmiarów i najpilniejszych nawet potrzeb nie może w należyty sposób zaspokajać. Moralny wpływ tej nagłej reakcyi jest niemniej opłakany.

Wobec takich, wcale niepożądanych objawów, które są wprawdzie, chcemy wierzyć, chwilowe, same przez się atoli tem większą wyrządzają krzywdę instytucyi, im ona młodsza i do im donioślejszych powołana jest zadań, godzi się w czas zwrócić na nie baczną uwagę. Nie doszło jeszcze Towarzystwo szkoły ludowej i miejmy nadzieję, że tak rychło nie dojdzie do tego kresu, gdzie dalszy rozwój ustaje, a rozpoczyna się cofanie ale gdy widmo niebezpieczeństwa może stać się groźnem w przyszłości, każdy, komu szczerze na dalszych losach Towarzystwa zależy, i kto w niem widzi czynnik ogólno-narodowego znaczenia, a przedewszystkiem życzliwa mu patryotyczna prasa z obywatelskiego obowiązku winna wskazać błędy i przyczyny złego w tym celu, aby je czemprędzej, i jeśli można, stanowczo usunąć.

Jest tych przyczyn kilka. Przedewszystkiem dwie główne, za które nie można winić jednostek, bo tkwią one niestety głęboko w narodowem naszem usposobieniu: to nasz osławiony, polski zapał słomiany i wieczne, gorączkowe łaknienie nowostek.

Prawdziwem jest nieszczęściem naszem, że nigdy przy jednej, choćby najważniejszej i najpożyteczniejszej myśli, dla ogólnego podniesionej dobra, nie potrafimy wytrwać tak długo przynajmniej, dopóki jej nie zapewnimy jakich takich warunków urzeczywistnienia, lecz z wrodzoną lubością rozstrzeliwamy się z reguły w pomysłach zarówno, jak w ich wykonaniu. W prywatnem życiu przeciętnie zamożnego nawet człowieka kardynalnym warunkiem dobrej gospodarki jest najpierw stosowanie wydatków do dochodów i majątku, powtóre zaspokojenie potrzeb niezbędnych przed mniej pilnemi, — kto postępuje inaczej, temu grozi ruina, w najlepszym zaś razie osłabienie sił i niemożność osiągnięcia w żadnym kierunku rezultatów dodatnich. Ta zdrowa ekonomiczna zasada ma większe jeszcze w narodowem czy państwowem gospodarstwie i życiu znaczenie, a jest wprost niezbędną dla społeczeństwa, które — jak nasze — potrzeb piekących ma na zbyt wiele, a z natury rzeczy ubogie, nie rozporządza nadmiarem środków do ich zaspokojenia. Szczytną jest niewątpliwie i budującą zasada »mierz siły na zamiary, nie zamiar według sił«, bo w zdrowych organizmach społecznych budzi odwagę do czynów i toruje ludzkości drogi szybkiego postępu, ale w praktyce życiowej podstawę racyonalnego, pomyślnego rozwoju daje i dać może tylko gospodarność, która w dobrze zrozumianym interesie ogółu każe z chaosu najrozmaitszych potrzeb wybierać najpilniejsze, aby je zaspokoić, dobywa z siebie wszelkich możliwych sił, skupia je i wytęża w jasno wytkniętym kierunku, a dopiero, uporawszy się, z grubsza przynajmniej, z jednem, stopniowo przystępuje do spełnienia innych, dalszych zadań, mniej na razie żywotnych. Nas niestety gospodarności takiej w publicznem życiu, systemu w społecznem wydatkowaniu nie nauczyły dotąd jeszcze ani wymowne innych narodów przykłady, ani z własnej przeszłości czerpane smutne doświadczenia. Każda nowość ma dla nas zawsze urok dziwnie pociągający. Nie radziśmy liczyć się z faktycznem napięciem niewyrobionej jeszcze należycie ofiarności publicznej, mnożymy bez liku hasła, z których każde następne na koszt poprzedniego część zasobów porywa, a żadne, skutkiem koniecznego rozdrobnienia środków, w pełnych kształtach ucieleśnić się nie może. Niewyczerpani w pomysłach, za które ofiarny ogół płaci, często mimowoli demoralizujemy społeczeństwo, nie mogąc mu bowiem dać rychło widomych dowodów skuteczności ofiar, osłabiamy w niem i podkopujemy wiarę we własne siły, a w następstwie zniechęcamy siebie i innych do pracy dla dobra powszechnego.

Zaledwie »Szkoła ludowa« powstała i zaczęła puszczać na gruncie galicyjskiem korzenie, zaledwie ogół ludności zaczął się na dobre obznajamiać z doniosłemi celami instytucyi i poczuwać się do obowiązku usilnego popierania jej szlachetnych zadań, a już pomysłowa niecierpliwość postarała się o skierowanie publicznej uwagi w inną stronę i o odwrócenie jej tem samem od polskiego „*Schulvereinu*“. Rodzi się we Lwowie „*Fundacya im. Tadeusza Kościuszki*“, o celach nieokreślonych, mglistych, niejasnych, brzmiących ogólnikowo, a w rzeczywistości z zadaniami Towarzystwa szkoły ludowej bardzo pokrewnych. Cóż się dzieje? Przez kilka lat toczy się najniepotrzebniejsza konkurencya między dwiema z tego samego pnia wyrosłemi instytucyami, która im obu na niedobre wychodzi. »Szkoła ludowa« ponosi niemały uszczerbek w dochodach i opuźnia się w naturalnym rozwoju, bo strumień patryotycznej ofiarności sztucznie rozdzielony, osłabnąć musiał, a »fundacya« wlecze przez czas jakiś swój suchotniczy, gwałtem przedłużany żywot i kończy go wreszcie fajerwerkiem, który może olśnił maluczkich, ale głębszego, ani trwalszego pożytku społeczeństwu nie przyniósł,

a twórców »fundacyi« do pewnego stopnia skompromitował. Czy to się godziło? Czy nie można było i czy nie należało uniknąć tego rodzaju wątpliwych sukcesów? Drugi przykład, również wymowny. W intencyach już wyraźniejszych, bo wprost z obozu, dla którego demokratyczne Towarzystwo »Szkoły ludowej« było od początku solą w oku, wyszło hasło, napozór bardzo patryotyczne, powabne, grające na najczulszych strunach serc naszych, hasło centowych składek na *„restauracyę Wawelu“*. Zasadniczo piękna i wzniosła myśl odnowienia wdowim z ofiar całego narodu płynącym groszem własnemi siłami i bez czyjejkolwiek pomocy starej naszej katedry koronacyjnej, obcą gospodarką zrujnowanej i przywrócenia do pierwotnej świetności zamku królewskiego, dziś w austryackie zamienionego koszary, mieści w sobie bezsprzecznie urok dla nas Polaków porywający i wstrząsający do głębi. I niktby też zapewne nie miał odwagi jawnie wystąpić przeciw temu hasłu, gdybyśmy 1) nie mieli na dziś do spełnienia zadań stokroć ważniejszych, bo takich, gdzie nie o martwe pomniki przeszłości, lecz o ratowanie żywotnych interesów naszych idzie, gdybyśmy 2) mieli na zbyciu miliony i gdyby 3) istniała pewność, że zamek czy kościół w swych dawnych szatach wskrzeszone. nie będą musiały służyć znowu kiedyś celom, nie mającym nic wspólnego ani z ich świetną przeszłością ani z ich przeznaczeniem. Tymczasem, jeśli się nie mylimy, żaden z powyższych warunków nie zachodzi. A jednak znowu lekkomyślna pomysłowość dokazała swego: znów rozstrzelono sztucznie ofiarność społeczeństwa i znowu skrzywdzono, tym razem zdaje się świadomie. instytucyę »Szkoły ludowej«, a przez nią lud polski, zagrożony na kresach. Gdybyż przynajmniej była jakakolwiek pewność lub prawdopodobieństwo, że cała ta akcya z Wawelem nie będzie poronioną, że do pozytywnych doprowadzi wyników. Niestety jednak rezultat dotychczasowych składek i »rozbijania puszek«, mimo że je forsują od dłuższego czasu sfery wpływowe, którym agitować łatwo, pono wcale nie świetnie się przedstawia i nie rokuje wielkich nadziei.

Trudno wszakże dziwić się społeczeństwu i oskarżać je, że tak chętnie i bezkrytycznie lgnie do wszelkich, choćby nawet nie z zagranicy importowanych, lecz »krajowego wyrobu« nowostek, skoro to wada zakorzeniona w niem od wieków. Tem większa natomiast odpowiedzialność spada na przywódców rozmaitego autoramentu i pomysłodawców, którzy mając pretensyę do znajomości społeczeństwa i znając jego skłonność do przerzucania się z jednej rzeczy w drugą, zamiast poprawiać i leczyć, sprowadzają je sami na błędne tory niepraktycznego rozpraszania sił. Świadomie czy nieświadomie dopuszczają się przez to czynu karygodnego, niepatryotycznego, bo w skutkach zawsze szkodliwego.

W tym wypadku zresztą nietylko »Szkole ludowej« ale pośrednio wyrządzono także krzywdę gimnazyum polskiemu w Cieszynie, które z takim trudem, wśród tylu przeciwności i po tyloletnich staraniach, dzięki zwiększonej ostatniemi laty ofiarności ogółu, ze sfery marzeń wreszcie przeszło w rzeczywistość. Zaledwie się to stało, zaledwie w wynajętym budynku otwarto pierwszą klasę dla dziatwy ludu śląskiego, natychmiast nastąpił zwrot najmniej spodziewany, składki na rzecz gimnazyum — jak to sprawozdania »Macierzy« wykazują, — zaczęły płynąć o wiele powolniej i słabiej. A przecież nie wolno nam zapominać ani na chwilę, że to dopiero początek, który wcale jeszcze dzieła nie wieńczy i że dopóki rząd nie obejmie zakładu we własny zarząd i na fundusz państwowy, — na co się niestety wobec obojętności i niedołęstwa Koła polskiego w Wiedniu nie bardzo zanosi, mimo, że ster rządu w państwie austryackiem dzierżą ministrowie rodacy — wydatki na utrzymanie i rozszerzanie gimnazyum z każdym rokiem zwiększać się będą, a tem samem społeczeństwo nasze musi się zdobyć na potrzebne środki, bo honor narodu nie pozwala dać upaść tej polskiej strażnicy na kresach...

Innych przyczyn zbyt powolnego rozwoju Towarzystwa »Szkoły ludowej« szukać należy w niem samem, w jego statutowej organizacyi, a po części także w błędach kierownictwa.

(C. d. n.)

Zawisza.

SPRAWA KROŻAŃSKA W OŚWIETLENIU DOKUMENTÓW.

I.

Wypadki w Krożach narobiły w swoim czasie niemało hałasu. Pisała o nich prasa — nasza i zagraniczna, wydano nawet parę broszur polskich i litewskich, dotychczas atoli nikt nie mógł być pewnym, że to, co wie, zgodne jest z rzeczywistością, że opisy które czytał, nie są przesadzone lub zbyt skąpe. Sprawozdań urzędowych nie było. Jedyna notatka, umieszczona w *Kowienskich gubiernskich wiedomostiach*, opiewała z możliwą tylko w Rosyi bezczelnością: »Podczas starcia tłumu z policyą i wojskiem, czterej *uriadnicy* policyjni otrzymali lekkie uderzenia kijami, rzuconymi w nich z tłumu; w tłumie nikogo nie raniono.« Wobec tego, jako wyłączne źródło wiadomości, pozostały ustne relacye, które przed wydostaniem się na świat szerszy często przez dziesiątki ust przechodziły. W takiej wędrówce każda rzecz do niepoznania zmienia swą postać, to też gdy jedni dawali całkowicie wiarę przychodzącym ze Żmudzi wieściom, inni odnieśli się do nich ostrożnie, częstokroć zbyt ostrożnie, i gdy im mówiono o licznych ofiarach przemocy, z powątpiewaniem kręcili głowami. Tak samo rzecz się miała z historyą procesu, którego wiele szczegółów zostało w ukryciu. Ludzie sumienni, czujący potrzebę dokładnych wiadomości o wszystkiem, nie przywykli do sądzenia na podstawie wątpliwych danych, po dziś dzień zostają w niepewności, nie mogąc sobie wyrobić żadnego określonego pojęcia o rzeczy, wobec najsprzeczniejszych z różnych stron sprawozdań. Dopiero dziś, mając w ręku dokładny opis procesu przed izbą sądową wileńską i szereg dokumentów odnoszących się do sprawy, a skrzętnie przez władze rosyjskie dotychczas ukrywanych, które nieznany autor, widocznie mający dostęp do źródeł, w przedmiotowem zestawieniu ogłosił*), można to zdarzenie i towarzyszące mu okoliczności jako tako zrozumieć. Wiele wprawdzie ważnych szczegółów pozostaje jeszcze niejasnymi i na wyjaśnienie może długo czekać będzie, niemniej przeto ogólny charakter sprawy na podstawie obecnych danych można określić i z jej przebiegiem w głównych momentach się zapoznać.

Od wypadków w Krożach upłynęło już z górą półtrzecia roku, a od wywołanego przez nie procesu w Wilnie — rok i trzy kwartały, rzecz przeto utraciła

*) *Proces Krożan przed izbą sądową wileńską, na podstawie aktów sądowych i innych dokumentów.* Kraków. 1896.

charakter nowości i publicystyka o niej zdołała zapomnieć. Zbyt ważny to jednak fakt, zbyt odbijający od tła zdarzeń powszednich, ażeby można pozostawić bez uwagi dane, rzucające nań nowe światło, prostujące dawne błędne wieści lub potwierdzające ostatecznie wiele rzeczy, których dotychczas z całkowitą pewnością twierdzić nie mogliśmy. Dokładna znajomość wypadków i zachowania się wobec nich władz, jest potrzebna każdemu, kto chce zdawać sobie sprawę z systemu rosyjskich rządów na Litwie i wogóle w zaborze rosyjskim, kto chce rozumieć pewne strony w zachowaniu się naszego społeczeństwa wobec tego rządu i wobec wywieranego przezeń ucisku. System od czasu wypadków krożańskich nie zmienił się. Litwą rządzi ten sam Orżewskij, obdarzony w zeszłym roku wysokim orderem przez młodego cara, a obecnie podczas koronacyi podwyższony w randze. Kowieńskim gubernatorem jest dotychczas winowajca i kierownik rzezi i gwałtów, również orderem odznaczony Klingenberg. Ludzie więc są ci sami, a jeżeli chodzi o sposób ich postępowania, to dość wskazać na prowadzoną przez nich w ostatnich czasach walkę z krzyżami przydrożnymi, która w paru wypadkach, jeżeli nie wywołała tego, co się działo w Krożach, to tylko skutkiem steroryzowania ludu, okazującego się uleglejszym w obawie nowych morderstw i gwałtów. Kroże — to nie historya jednej nocy, to w pewnem znaczeniu obraz całych stosunków polsko-rosyjskich. Z tego właśnie względu sprawa nie zasługuje, żeby o niej zapomnieć, jak o jakiejś katastrofie kolejowej lub o jakimś przypadkowym pożarze. Trzeba ją należycie poznać i — co ważniejsza — trzeba zrozumieć.

W końcu r. 1893 ukazały się w prasie niemieckiej i polskiej zakordonowej korespondencye ze Żmudzi, donoszące o niesłychanych gwałtach, których miał się dopuścić na mieszkańcach miasteczka Kroż w pow. rosieńskim gubernator kowieński Klingenberg przy pomocy policyi ziemskiej i kozaków. Powodem było usiłowanie zamknięcia kościoła przez władze, czemu się lud sprzeciwił. Skutkiem tego było natarcie policyi ziemskiej i kozaków na lud bezbronny, mordowanie nieszczęśliwych, a po odniesieniu łatwego zwycięstwa — katowanie pojmanych i gwałty w całem miasteczku. Wieść przynosiła straszne sceny okrucieństwa, znęcania się nad bezbronnymi, niepodobne prawie do uwierzenia obrazy zbrodni, spełnionych w czasie pokoju przez przedstawicieli władzy, w kraju cywilizowanym, położonym blisko środka Europy, w miejscowości odległej o 9 mil od granicy pruskiej.

Przez długi czas napływały coraz nowe szczegóły zdarzenia, prasa nie przestawała wypowiadać głosów oburzenia na katów, aż wreszcie rozeszła się wieść, że głośna sprawa skończy się przed sądem. Istotnie rząd rosyjski zadecydował zwołanie sądu w Wilnie. Na morderców bezbronnego ludu pewnie? ...Nie, na ofiary zbrodni, oskarżone... o opór władzy.

Na dzień 20 września (według kalendarza juliańskiego) 1894 r., w dziesięć miesięcy z górą po wspomnianych wypadkach, naznaczono p u b l i c z n ą, przy otwartych drzwiach sesyę kryminalnego departamentu izby sądowej wileńskiej, »ze współudziałem przedstawicieli stanów“, dla rozpoznania sprawy »o opór, stawiony władzom podczas zamknięcia kościoła Benedyktynek w Krożach, powiatu rosieńskiego«. Komplet sądzący stanowili: naczelny prezes izby Stadolskij, członkowie izby: Jewreinow, Kobeko i Niekludow, wreszcie »przedstawiciele stanów«: marszałek szlachty pow. wileńskiego Leontjew (w zastępstwie za gubernialnego marszałka szlachty, hr. Broel-Platera, który się nie stawił); prezydent miasta Wilna Gołubinow; wreszcie przedstawiciel włościaństwa, wójt gminy mickuńskiej Dunowski, jako kolejny w szeregu wzywanych do udziału w sądzie. Oskarżenie powierzono towarzyszowi prokuratora izby sądowej wileńskiej, Dobryninowi.

Przed ten sąd postawiono 70 osób (53 mężczyzn i 17 kobiet), podzielonych według stanów: 34 włoscian, 26 szlachty (prawie wyłącznie drobnej) i 10 mieszczan.

Dzięki usilnym staraniom pewnych osób zorganizowano należytą obronę. Chodziło z jednej strony o to, ażeby na sądzie, o ile się da, wyświetlić całą sprawę i publicznie stwierdzić niesłychane gwałty przedstawicieli rządu, z drugiej zaś, ażeby ochronić nieszczęsne ofiary od nowego gwałtu, tym razem ulegalizowanego, ubranego w szaty sprawiedliwości. Na ławach obrońców znalazły się najlepsze siły, jakiemi rozporządza adwokatura rosyjska (z rozmaitych względów na obrońców powołano uczciwszych adwokatów rosyjskich, którzy na szczęście przedstawiają jednocześnie najwybitniejsze siły obrończe w Rosyi). Bronili podsądnych: Andrejewskij, Urusow, Żukowskij, Turczaninow, obok nich znany adwokat warszawski, Jan Maurycy Kamiński (jedyny śród nich Polak), wreszcie adwokat wileński, Rosyanin Białyj. Dwaj wybitni adwokaci wileńscy, Polacy, Węsławski i Szostakowski ofiarowali obrońcom swą pomoc, jako znawcy warunków miejscowych i samej sprawy.

Posiedzenie dnia 20 września (st. st.) rozpoczęło się od ogłoszenia ze strony prezesa, że z polecenia ministra sprawiedliwości z a w i e s z a j a w n o ś ć p o s i e d z e n i a. Ogłoszona poprzednio urzędownie jawność widocznie miała na celu uspokojenie opinii, zapewnienie jej, że będzie miała możność poznania sprawy na sądzie, ale w ostatniej chwili jawność tę zawieszono, by nie dopuścić do światła faktów rząd kompromitujących.

Nie będziemy tu powtarzali aktu oskarżenia, ciekawego nader w swoim rodzaju elaboratu wykonawców sprawiedliwości rosyjskiej. Zestawiwszy go tylko z szeregiem dokumentów, jak prośby parafian do cara i władz, odezwy generał-gubernatora i ministra spraw wewnętrznych, raporty gubernatora kowieńskiego i t. p., sprobujemy dać treściwy zarys przebiegu wypadków, które doprowadziły do krwawego dnia 10 listopada 1894 r.*)

12 grudnia (st. st.) 1891 r. nastąpiła decyzya carska, nakazująca kasatę klasztoru Benedyktynek z kościołem i cmentarzem w Krożach oraz przeniesienie pozostałych zakonnic do Kowna. Konsystorz żmudzki zawiadomiony o tem poczynił odpowiednie kroki, ażeby wszelkie liturgiczne i kościelne sprzęty były usunięte i rozdzielone pomiędzy inne kościoły.

Ponieważ parafialny kościół krożański był drewniany, stary, zmurszały, a nadto dla mieszkańców miasteczka znajdował się w dość znacznej odległości za rzeką Krożentą, utrudniającą podczas wylewów dostęp do świątyni, skutkiem czego znaczna większość parafian przywykła słuchać nabożeństwa w kościele klasztornym, znajdującym się w samem miasteczku, ponieważ z drugiej strony ten kościół klasztorny był murowany, miał mocną, trwałą budowę, przeto ludność Kroż i okolicy poczęła czynić u władz starania, ażeby nie walono kościoła klasztornego, jeno zamieniono go na parafialny,

*) Pragnących zapoznać się gruntowniej ze sprawą odsyłamy do wyżej przytoczonej książki, zasługującej ze wszech miar na jak najszersze rozpowszechnienie.

a z drewnianego kościoła parafialnego, stojącego pośród cmentarza, żeby uczyniono kaplicę pogrzebową. Starania te, w postaci próśb na imię carskie oraz do generał-gubernatora, były prowadzone za rządów Kochanowa na stanowisku generał-gubernatora.

Ministerstwo spr. wewnętrznych przekazało sprawę do rozpatrzenia generał-gubernatorowi, przyczem w odpowiedniej odezwie ministra do Kochanowa powiedziano: »Z uwagi, że kościół i zabudowania klasztoru krożańskiego i według projektów Waszej Ekscelencyi nie otrzymały żadnego przeznaczenia i mają być zniesione, sądzę, iż możliwe jest zadosyćuczynienie powyższej prośbie pod warunkiem, aby teraźniejszy kościół został rozebrany.

Do zbadania sprawy na miejscu wydelegowano urzędnika, który między innemi zapytywał o zdanie proboszcza. Otóż ważnym a smutnym tej sprawy momentem jest, że proboszcz, ks. Renadzki, dał deklaracyę na piśmie, iż na taką zamianę nie zgadza się, ponieważ grunty należące do kościoła poklasztornego mają być odebrane, przy zamianie jego na parafialny. Proboszczowi chodziło o własne jego niedogodności ekonomiczne, wynikające z posiadania gruntów daleko od kościoła. Dowiedziawszy się o tem, parafianie wysłali nową prośbę do Kochanowa, w której domagali się nieuwzględnienia »bezsensowej i nieprawidłowej deklaracyi proboszcza Renadzkiego, wydanej przez niego wbrew powołaniu i sumieniu«.

Zdrowy rozsądek wskazywał tak wyraźnie słuszność żądań parafian krożańskich, że Kochanow w odezwie do ministra zaopiniował na ich korzyść. Uznał on, że budynek kościoła parafialnego »składa się z bali zupełnie spróchniałych«, i osądził, że »można częściowo uwzględnić prośbę wiernopoddańczą parafian krożańskich, t. j. nadać kościołowi poklasztornemu tytuł parafialnego, pod warunkiem, aby dzisiejszy parafialny kościół rozebrano, zabudowania skasowanego klasztoru oddano do rozporządzenia duchowieństwu parafialnemu, a całą drewnianą część właściwego gmachu klasztornego zniesiono i materyał stąd oddano proboszczowi«. Między innemi powiedziano w tej odezwie, iż »z przynależytości byłego klasztoru folwark Adele i jezioro przy wsi Pojeziorach stanowczo powinny przejść na rzecz skarbu, a to w celu urządzenia kolonii rosyjskich na folwarku«. W innej odezwie (z d. 9 listop. 1892 r.) Kochanow wypowiada ostateczną decyzyę w tym samym duchu, przedstawiając sposób zamiany gruntów proboszcza, z oddaniem mu części przyklasztornych. »Z gruntu — powiedziano tam — przyległego do dzisiejszego kościoła parafialnego, zostawić w posiadaniu rz.-katolickiego duchowieństwa tylko cmentarz; pozostałe grunta, należące do beneficyum parafialnego, do służby kościelnej, oraz zabudowania i folwark Kalnicę obrócić na ufundowanie w m. Krożach szkoły gospodarstwa wiejskiego, jak to projektowałem poprzednio, a gdyby to nie było do urzeczywistnienia — na kolonizacyę rosyjską. Wreszcie należące do skarbu jezioro b. klasztoru krożańskiego oddać na własność kowieńskiej cerkwi Zmartwychwstania, dla zasilenia jej funduszów, o co mię niejednokrotnie już proszono«.

Los chciał, że z końcem roku 1892 Kochanow ustąpił ze stanowiska generał-gubernatora, a na jego miejsce mianowany został b. naczelnik żandarmów w Warszawie, potem towarzysz ministra spraw wewnętrznych, Orżewskij. Ten w sprawie zamiany poklasztornego kościoła krożańskiego na parafialny wydał wręcz przeciwną opinię, na skutek czego minister spraw wewnętrznych wydał d. 11 czerwca 1893 r. odezwę na imię wileńskiego, kowieńskiego i grodzieńskiego generał-gubernatora, która w głównej swej części brzmi, jak następuje:

»Najjaśniejszy Pan, wskutek wiernopoddańczego przedstawienia o rozdziale zabudowań i gruntów klasztoru Benedyktynek w Krożach, skasowanego na mocy Najwyższego rozkazu 12 grudnia r. 1891 — w dniu 10 czerwca najwyżej zezwolić raczył:

1) *na oddanie klerowi cerkwi Zmartwychwstania* w Kownie jeziora przy wsi Pojeziory w gub. kowieńskiej położonego, które należało do skasowanego klasztoru Benedyktynek w Krożach;

2) na oddanie skarbowi wiatraka i gruntów tego klasztoru w folwarku Adele, pow. Szawelskiego, dla urządzenia z tych ostatnich *osady rosyjskiej*, i —

3) gmach kościoła oraz wszystkie zabudowania klasztorne i gospodarcze w m. Krożach *znieść*, a materyał z tego otrzymany, tudzież grunta poklasztorne, będące tam, obrócić na ufundowanie w owem miasteczku szkoły gospodarstwa wiejskiego.«

Na decyzyę tę należy patrzeć, jako na główne źródło wszystkiego, co się potem stało. Skoro decyzya zapadła, należało ją wprowadzić w wykonanie. Sam sposób wykonania, środki, użyte przez władze, mogą być rozmaite i w tym względzie istnieje w Rosyi nader szeroka skala.

Stanęły wobec siebie dwie siły: z jednej strony rząd, a właściwie miejscowe jego organy, z drugiej — lud. Przedstawiciele władzy wiedzieli jedno, mianowicie, że mają wykonać rozkaz zwierzchności i samego cara, lud zaś nie mógł się pogodzić z niesprawiedliwością, aż nadto jawną, aż nadto ohydną w jego pojęciach, ażeby mowa być mogła o pogodzeniu się z faktem. Pomiędzy rządem i ludem stanęła z konieczności siła trzecia — duchowieństwo, ale ono, zbyt dobrze pamiętając niedawne ciosy z ręki tego samego wroga i czując ciągle na sobie jej ciężkość, abdykowało odrazu z wszelkiego wpływu na przebieg sprawy. Przedstawiciele jego zjawiają się tu na widowni o tyle tylko, o ile oficyalne ich stanowisko do tego ich zmusza, bierni, ulegli bezwzględnie rozkazom cywilnej władzy rosyjskiej. Jedyny podczas całego tego prologu samodzielny krok duchowieństwa — było to wystąpienie proboszcza krożańskiego, ks. Renadzkiego, nie zgadzającego się z zamianą kościoła poklasztornego na parafialny z czysto osobistych względów materyalnych.

Lud tedy, pozostawiony samemu sobie, zaczął używać rozpaczliwych wysiłków w celu zachowania sobie kościoła, w którym się oddawna modlił, do którego się przywiązał i który, jako murowany, miał widoki na przetrwanie tych ciężkich czasów, w których nietylko budowanie, ale odnawianie kościołów napotyka niesłychane przeszkody ze strony władz. Chciano mu zburzyć piękną murowaną świątynię, pozostawiając spróchniały drewniany kościółek — czyż mógł on patrzeć ze spokojem na gwałt podobny?...

Zaczęło się tedy pisanie nowych próśb, do cara, do generał-gubernatora, w przewidywaniu zaś więcej niż wątpliwej skuteczności tamtych, jednocześnie do papieża, do cesarza austryackiego i niemieckiego, do króla duńskiego, do królowej angielskiej, wreszcie do prezydenta rzeczypospolitej francuskiej *).

*) Faktu wysyłania tych próśb urzędowe dokumenty nie notują. Podaje go tylko „Opis wypadków krożańskich, sporządzony w więzieniu wileńskiem przez oskarżonych". Jest on złożony w Muzeum Rapperswylskiem.

Naiwna, ale oparta na zdrowym sądzie dyplomacya dyktowała tym prostym ludziom, iż Rosya nazewnątrz musi się wstydzić swego barbarzyństwa i że car, dowiedziawszy się, iż nikczemność stała się jawną dla zachodnich jego sąsiadów, cofnie raz powziętą decyzyę. Było to na dwa miesiące przed krwawym dramatem. Wtedy już oczekiwanie na nową decyzyę cara przestawało być biernem, oczekujący bowiem coraz bardziej byli niepokojeni wieściami, że lada dzień z kościoła będzie wyniesiony Najśw. Sakrament i świątynia zostanie raz na zawsze zamknięta, poczem nastąpi jej zburzenie. Wieści te nie były wcale bezzasadne, konsystorz bowiem wydał był już miejscowemu duchowieństwu polecenie wyniesienia Najśw. Sakramentu i oddania kluczów od kościoła w ręce władzy cywilnej.

Wobec tego już na dwa miesiące przed katastrofą lud, widząc bierność duchowieństwa powolnego rozkazom władzy, wziął kościół w swoją opiekę. Od tego już czasu dniem i nocą w kościele znajdował się tłum ludzi. Lud ściągał ze wsi okolicznych, jedni zmieniali drugich, do kościoła znoszono jedzenie dla tych, co tam dłużej zostawali. Władze wiedziały o tem, bo nie wiedzieć nie mogły, ale, jak zwykle władze rosyjskie, wobec nowej sytuacyi stały bezradne.

Pilnujący kościoła lud nie pozwalał księżom wynieść Najśw. Sakramentu. Schowano kluczyk od cyboryum, a gdy ksiądz chciał mszę odprawić przy wielkim ołtarzu i przy niej spożyć wszystkie komunikanty, by tym sposobem rozwiązać sytuacyę, lud na to nie pozwolił i msza została odprawioną przy bocznym ołtarzu. Innym razem, gdy ks. Możejko otworzył cyboryum z pomocą wytrycha i zabrał z ołtarza kielich, zebrani zmusili go do postawienia kielicha na ziemi, poczem jeden z nich odniósł go napowrót do ołtarza, a inni tymczasem poturbowali księdza. Duchowieństwo tedy wysilało swój dowcip i narażało się, współdziałając władzy, nic to jednak nie pomogło wobec czujności parafian krożańskich, stających tym razem między księdzem i kościołem, na stanowisku obrońców ostatniego. Dla osiągnięcia skutku duchowieństwu udzielono pomocy policyjnej w postaci naczelnika powiatu, ale i to nie pomogło, zebrani bowiem oświadczyli przedstawicielowi władzy, że nikogo do kościoła nie puszczą, dopóki nie otrzymają odpowiedzi od cara. Pomimo dwukrotnej ze strony naczelnika powiatu próby wytłómaczenia ludowi, że musi kościół oddać, tłum zagrodził mu drogę do kościoła i stanowczo odmówił posłuszeństwa.

Wobec takiego stanu rzeczy gubernator kowieński Klingenberg postanowił osobiście zamknąć kościół i w tym celu przybył do Kroż w nocy 10 listopada. Wydał on przedtem rozporządzenie, aby w wigilię dnia 10 listopada skoncentrowano w Krożach siedmiu urzędników policyjnych, 50 strażników i 10—12 podoficerów żandarmeryi, gdy zaś wysłany przez naczelnika powiatu strażnik ziemski spotkał go na drodze do Kroż i zawiadomił, że w kościele zebrał się tłum złożony z 400 około ludzi, gubernator wezwał telegraficznie na godz. 8 rano z miasteczka Worń trzy sotnie kozaków. Tak zaasekurowany mógł już spokojnie stanąć przed opornym ludem.

R. S.

Z CAŁEJ POLSKI.

Niezadowolenie ugodowców z hr. Szuwałowa i jego z nich. Szkodliwość polityki ugodowej w zaborze rosyjskim i pruskim. Koterya rządząca w Poznańskiem. Mowa p. Barwińskiego. Kilka uwag w sprawie ruskiej.

Ugodowcy w zaborze rosyjskim powtórnie przegrali sprawę i przedstawiciele ich powrócili z Moskwy niezadowoleni i zgnębieni, bo nietylko żadnych pozytywnych zapewnień, ale nawet żadnych obietnic nie uzyskali, a bardzo skąpo im udzielono oznak lub dowodów łaski i życzliwości. *Czas*, który przed koronacyą udawał za pomocą nadętych panegiryków, że jest »przy nadziei« najlepszych skutków akcyi ugodowej, milczy teraz o niej. Polityka, o której mówiono, że jest brzemienną w wielkie następstwa, okazała się kombinacyą bezpłodną i fałszywą. Korespondent warszawski *Dziennika poznańskiego* twierdzi, że ugodowcy czują żal do hr. Szuwałowa, który wywiódł ich w pole i, powyciągawszy od nich rozmaite memoryały, na ich podstawie złożył rządowi raport w duchu, przeciwnym spodziewanym ustępstwom. Nasz korespondent, z Warszawy donosi, że o arystokracyi i szlachcie odzywa się generał-gubernator pogardliwie, gdyż, zdaniem jego klasa ta nie ma w społeczeństwie polskiem żadnego prawie znaczenia i zjednywać jej sobie nie warto. Lud jest względem rządu obojętny, pozyskać go dziś jeszcze może się uda, ale to zadanie przedstawia wielkie trudności. Najbardziej wrogim dla Rosyi żywiołem jest t. zw. inteligencya, której wszelkimi środkami trzeba przeciwdziałać.

O zamierzonej akcyi rządu rosyjskiego przeciw inteligencyi polskiej piszą zgodnie korespondenci innych dzienników, chociaż mylnie zapewne uważają aresztowanie Chmielowskiego za pierwszy objaw tej polityki, nie nowej zresztą, bo już Apuchtin i Hurko oddawna w tym kierunku działali. Zaraz po koronacyi za przykładem *Warszawskiego Dniewnika* napadły dzienniki rosyjskie na prasę warszawską za wstrzemięźliwe jej zachowanie się wobec uroczystości w Moskwie. Był to pierwszy atak na przedstawicielstwo widome inteligencyi polskiej, a raczej pobudka do ataku, który wykonał p. Jankulio, prezes komitetu cenzury. Wezwał on do siebie redaktorów główniejszych pism i zgromił ich za obojętne zachowanie się wobec tak doniosłego faktu, jak »święta koronacya«, za przykład zaś, w jaki sposób pisać o tem należało, wskazał artykuł *Czasu*. Następnie dodał p. Jankulio, że rząd zwrócił uwagę na działalność antypaństwową inteligencyi polskiej i zarządzi odpowiednie środki dla jej poskromienia.

Jest to jedyny, niewątpliwy skutek artykułu *Czasu*, który tak się podobał prasie rosyjskiej. Manifest krakowski polityki ugodowej posłużył władzy rosyjskiej do uzasadnienia nowych środków represyjnych przeciw prasie polskiej w Warszawie skierowanych. Można to samo powiedzieć o całej akcyi ugodowej. Rząd rosyjski stara się zawsze usprawiedliwić swoje postępowanie chociażby za pomocą argumentów fałszowanych lub naciąganych, nie przyznaje się nigdy cynicznie, jak np. rząd niemiecki, że chce zgnębić i wyplenić narodowość polską. Chętnie więc korzysta ze sposobności, jaką mu podsuwają ugodowcy. Jeżeli w społeczeństwie polskiem są żywioły, pragnące pojednania się z rządem na warunkach bardzo skromnych, a nawet bez żadnych warunków — to pozostałą część społeczeństwa, w danym wypadku ogromną większość inteligencyi stanowią buntownicy, z którymi odpowiednio postępować należy.

Obłuda polityczna, a nawet czasem szczere przekonanie skłonią niejednego przedstawiciela władzy rosyjskiej do surowego prześladowania dotychczas tolerowanych dążności społeczeństwa polskiego, które uważać będzie nadal jako nierozważne lub buntownicze, ponieważ nie domaga się ich uwzględnienia »rozumna, trzeźwo myśląca« gromadka ugodowców. W potrzebie ta gromadka przekształcać się może w »większość narodu« w publicznych wynurzeniach rządu i opinii rosyjskiej.

Wszelkie dążenia ugodowe są w istocie swej targiem politycznym, rzeczywistym lub domniemanym. Nasi ugodowcy w zaborze rosyjskim i pruskim, sprowadzając żądania swoje do minimum, właściwie poprzestając jedynie na nieokreślonych nadziejach i zdając się na łaskę i niełaskę, szkodzą nieopatrznie społeczeństwu własnemu, pośrednio bowiem ośmielają rządy do ograniczenia uznawanych za możliwe ustępstw lub nawet praw istniejących. Na rynku politycznym niema, nie może być cen stałych, niezmiennych norm wymiany usług. Zawsze jedna strona mniej daje, niż druga żąda; kto mało żąda, a raczej nie żąda lecz prosi, z pewnością mniej otrzyma, niż się spodziewać ma prawo, niż mógłby otrzymać.

Dowodnie okazuje się to w zaborze pruskim, gdzie nieudolna polityka ugodowa nietylko nic nie zdobyła dla społeczeństwa, ale naraziła je i wciąż jeszcze naraża na nowe straty. Nawet najbardziej zaślepionym powoli otwierają się już oczy. Główny opiekun dążeń ugodowych, uświęcający je powagą swego dostojeństwa i niewątpliwych zasług obywatelskich, ks. arcybiskup Stablewski, widzi z pewnością, do jakich rezultatów doprowadziła ta polityka złudzeń. Za mniemane ustępstwo w sprawie nauczania religii w języku ojczystym, wyrzeczono się prywatnej nauki tego języka, która odpowiednio zorganizowana mogłaby w warunkach miejscowych rozwinąć się należycie. Duchowieństwo, wstąpiwszy na pochyłą drogę kompromisu z rządem, musiało zgodzić się na pewne ustępstwa, których rozmiarów i kresu oznaczyć nie można. Dzisiaj, nieraz wbrew woli stosować się musi do wymagań rządu, które wciąż rosną. Sprawa ks. Szadzińskiego, o której pisaliśmy, nie jest wypadkiem odosobnionym. Pisma niemieckie od tego czasu oskarżyły już dwóch innych księży o propagandę patryotyczną, a żadna z tych spraw właściwie nie jest jeszcze załatwioną i niewiadomo jak się zakończą. Podczas ostatniego objazdu arcybiskupa ludność wszędzie witała go uroczyście, a teraz sądy i policya skazują na kary pieniężne i prześladują obywateli za wywieszanie czerwonych i białych chorągwi, za noszenie szarf czerwonych, a nawet za to, że konno otaczali karetę ks. Stablewskiego.

Sprawa kandydatury p. Jaworskiego nie jest wcale zwycięstwem polityki ugodowej, chociaż uchodzi on za jednego z najgorliwszych jej zwolenników. Wobec usposobienia ogromnej większości wyborców p. Jaworski nie odważył się wyznać szczerze swych przekonań politycznych, ale wykręcił się ogólnikowym frazesem patryotycznym. Można ubolewać, że wyborcy nie mają jeszcze dostatecznego wyrobienia politycznego, ale w żadnym razie nie można tego wybiegu dla uratowania zagrożonej kandydatury nazywać zwycięstwem. Myli się korespondent poznański *Słowa polskiego,* chrzcząc tem mianem rezultat wiecu wyborczego w Świeciu, chociaż dalsze jego uwagi są zupełnie trafne. Istotnie »coś w masie ludu kotłuje i społeczeństwo coraz podejrzliwszem okiem spogląda ku tym wyżynom, które kierowały i kierują jeszcze polityką narodu«.

W Wielkopolsce i Prusiech Zachodnich zajmuje te wyżyny nie klasa właściwie, ale nieliczna stosunkowo koterya, wyzyskująca przywilej przewodnictwa społecznego nietylko w sprawach politycznych. Stanowiska publiczne są tam monopolem pewnej liczby ludzi, cieszących się »ogólnem zaufaniem«, często niezasłużenie wcale. Opinia publiczna jest bezwładną, bo od lat dwudziestu kilku pozbawiono ją głosu i hypnotyzowano jakoby ze względu na stosunki polityczne, wymagające przedewszystkiem karności i ślepego posłuszeństwa hierarchii społecznej.

W sprawozdaniach wszystkich trzech istniejących w Poznaniu banków polskich zamieszczono ubolewania z powodu strat na wekslach z fałszowanymi podpisami. Pisma, i to niektóre tylko, zaznaczyły ten fakt, ale powstrzymały się od wszelkich uwag, no, i ma się rozumieć, od ogłaszania nazwisk fałszerzy. Nie wiadomo nawet, czy sprawy oddano sądom, czy też polubownie załatwiono. Bank włościański, który poniósł znaczną stratę, oświadcza, że chociaż udziela pożyczek z wielką ostrożnością, »nie starczyła ona jednak, żeby ochronić instytucyę przed przyjęciem fałszowanych podpisów wekslowych od ludzi, otaczanych ogólnem zaufaniem«.

»Nie wszystkie stosunki naszych interesów narodowych — powiada *Orędownik,* — dają się w cyfry ująć, mimo to możemy przyjąć za pewnik, że wszędzie straty ponosimy, gdzie opinia publiczna, otaczająca ludzi ogólnem zaufaniem, rozchodzi się z rzeczywistością«. Jako ilustracyę do tej sprawy, przytacza *Orędownik* proces, który mu pośrednio wytoczył poseł Cegielski, prezes rady nadzorczej »Domu przemysłowego«. Pismo, mówiąc o nadużyciach, popełnionych w tej instytucyi, wyraziło się niejasno, wskutek czego zarząd obecny słusznie mógł czuć się obrażonym. Zarząd wygrał proces, w którym zresztą chodziło przedewszystkiem o dokuczenie przeciwnikowi politycznemu. Ale w toku sprawy sądowej okazało się istotnie, że b. dyrektor instytucyi dopuścił się przeniewierstwa i że rada nadzorcza postanowiła występek ten zataić, a jednocześnie z zarządu »Domu przemysłowego« usunięto człowieka, który chociaż miał wszelkie do kierownictwa kwalifikacye, nie był jednak skłonnym do pobłażania nadużyciom.

Zdrowa opinia publiczna może puścić płazem złodziejowi popełnione przeniewierstwo, ale nie rozgrzeszyłaby nigdy ludzi, którzy, opiekując się instytucyami publicznemi, kradzieże lub fałszerstwa ukrywają. Występki zdarzają się wszędzie i o moralności społeczeństwa nie stanowią, ale taka pobłażliwość dla nich jest objawem zgnilizny obyczajowej.

»Musi być coś fałszywego, coś chorobliwego w naszej opinii publicznej, w naszej prasie, w naszych ogólnych stosunkach« — powiada *Orędownik* i dodaje, że zarówno w ekonomicznych jak i w politycznych stosunkach potrzebną jest naprawa radykalna. »Ku temu — woła organ ruchu ludowego — powinny przeć wszystkie żywioły, które w społeczeństwie naszem czują w sobie zdrowe siły życia i przyszłości, a stoją naprzeciw tym, które reprezentują tylko siły konsumcyjne i rozkładowe«.

Nie pisaliśmy dotychczas o obradach wspólnych delegacyi austro-węgierskich, chociaż ze względu na stanowisko, które zajmują Polacy w państwie, niektóre sprawy w delegacyach poruszone, mają dla nas znaczenie doniosłe. W innem miejscu pomówimy o sprawozdaniu, czyli t. zw. *exposé* hr. Gołuchowskiego, tu zaś wspomnimy o mowie posła ruskiego, p. Barwińskiego, uważanego przez niektóre pisma rosyjskie za Polaka.

P. Barwiński należy do tych narodowców ruskich, których polityka wybiega po za ciasne szranki stosunków galicyjskich, i probuje objąć całość interesów narodu ruskiego. Rozumieją oni, a raczej od niedawna zaczynają rozumieć, że walka o prawa narodowości ruskiej tam przedewszystkiem powinna być prowadzoną, gdzie ta narodowość żadnych praw obywatelskich nie ma i gdzie główna jej masa się znajduje. Gdyby nawet wszystkie skargi i żądania Rusinów galicyjskich były całkowicie uzasadnione, przyznać każdy musi, że położenie ich polityczne w Austryi stokroć jest lepsze, aniżeli położenie ich braci w państwie rosyjskiem. Z tego zaś wynika, że zamiast marnowania sił na walkę z Polakami, należy zwrócić całą energię na pracę, mającą na celu umysłowy i polityczny rozwój narodowości ruskiej nietylko w Galicyi, ale i na całym obszarze Rusi — Ukrainy. Nie do nas należy ocenianie, czy polityka tego odłamu narodowców ruskich w taktyce i szczegółach jest trafną, zaznaczymy tylko, że jej punkt wyjścia i zasada naczelna są przedmiotem napaści polityków parafialnych z rozmaitych obozów ruskich, których wzrok nie sięga po za granice ciasnego światka wschodnio-galicyjskiego, dla których poskromienie nadużycia jakiegoś starosty, księdza lub szlachcica jest ważniejszą sprawą narodową, aniżeli walka z systemem przemocy, utrzymującej w niewoli duchowej i politycznej kilkanaście milionów ludu. P. Barwiński w mowie swej wykazał, że wpływowe żywioły w Rosyi dążą do zgnębienia i wytępienia wszelkiej odrębności narodowej. Polacy, Niemcy, Rumuni, Ormianie, Finlandczycy, boleśnie odczuwają skutki tego systemu politycznego, ale najgorszym bodaj jest los Rusinów. Język ruski wygnano z cerkwi i ze szkoły, literaturę gnębi specyalna cenzura, a prawo ogranicza ją wyłącznie niemal do utworów beletrystycznych. Narodowość ruska pozbawiona jest całkowicie możności rozwoju kulturalnego. Dla Austryi nie może być rzeczą obojętną, że tę politykę wszechrosyjską propagują bezkarnie wśród podwładnych jej ludów agenci słowiańskiego towarzystwa dobroczynności. Te wichrzenia przeszkadzają najwięcej wolnemu i samodzielnemu rozwojowi narodowości ruskiej w Austro-Węgrzech, a jednocześnie szkodzą interesom państwa. Rząd ma więc obowiązek tłumić je energicznie.

Mowa p. Barwińskiego zaniepokoiła te organy prasy ruskiej, które z agitacyą panslawistyczną blizki mają stosunek. *Hałyczanin* w całym szeregu artykułów próbował ośmieszyć »Don Kichota galicyjskiego«, twierdząc że p. Barwiński domagał się interwencyi Austryi w sprawie narodowości ruskiej w państwie rosyjskim. Ma się rozumieć, p. Barwiński nie był tak naiwnym, przedewszystkiem chciał on zaznaczyć swoje stanowisko polityczne, powtóre pragnął zwrócić uwagę rządu na agitacyę rosyjską w Austryi. Bezczelność tej agitacyi wzrasta codziennie, władza zaś przypatruje się jej z dziwną pobłażliwością. Nas Polaków obchodzi to tylko pośrednio, ale Rusinów bezpośrednio dotyczy. W mowie swej wspomniał tylko p. Barwiński o niejakim Kupczance, płatnym agencie rosyjskim, który wydaje w Wiedniu pismo, prenumerowane w kilkuset egzemplarzach przez Apuchtina. Kupczanko na bankiecie prasy w Moskwie wygłosił toast z życzeniem zjednoczenia ludów słowiańskich pod opieką Rosyi. *Hałyczanin* wzmiankę o tym agencie rosyjskim uznał, słusznie zresztą, za pośredni przytyk do swej działalności, i broni się, jak umie i może, bo czuje, że poskromienie wichrzeń wszechrosyjskich bodaj od niego by się zaczęło. Posłowie polscy w delegacyach nie poparli wywodów p. Barwińskiego. Prasa rosyjska i *Hałyczanin* twierdzą, że uczynili to przez wzgląd na hr. Gołuchowskiego, żeby nie utrudniać stosunku jego do Rosyi. Pożądanem byłoby jednak zasadnicze i otwarte wyjaśnienie, że własny nasz interes nakazuje nam popierać taką politykę ruską, która ma na celu walkę w imię praw i interesów swej narodowości w zaborze rosyjskim i że przedewszystkiem na tym gruncie możliwem jest szczere współdziałanie Polaków i Rusinów.

Na innych polach jakiekolwiek porozumienie bardzo jest trudnem. Komitet wiecu katolickiego, urządzanego głównie w celu upamiętnienia Unii Brzeskiej, zaprosił do udziału w nim Rusinów. *Diło,* widząc w tem machinacyę jezuicko-polską, pragnącą jakoby wykazać, że Polska i latynizm są żywiołami panującymi w Galicyi, a Ruś i obrządek ruski są tylko ich drugorzędnemi częściami składowemi — wzywa Rusinów, żeby protestowali, podobnie jak protestowali przed 27 laty podczas obchodu Unii Lubelskiej. Niektóre pisma polskie surowo potępiają ten objaw zawziętości lub patetycznie rozprawiają o braterstwie dwóch narodów. Należałoby raz na zawsze wyrzec się takich frazesów i polityki, którą wyrażają. Obejdziemy się bez Rusinów i nie mamy potrzeby wzywać ich do wspólnego działania na jakiemkolwiek polu. Nasze usposobienie pojednawcze ośmiela ich tylko i zachęca do wytaczania coraz to nowych skarg i uroszczeń bezzasadnych. Zgodzić się można z *Diłem,* że obchód trzechsetnej rocznicy Unii jest przedewszystkiem sprawą, obchodzącą Unitów i Rusinów, dla nas właściwie dosyć obojętną. Niepotrzebną była szczególna uprzejmość w zapraszaniu Rusinów, ani brania na siebie inicyatywy obchodu. Poczucie godności własnej nie pozwala wyciągać ręki do tego, kto nie chce jej uścisnąć. Lepsza i rozumniejsza część społeczeństwa polskiego, śmiało powiedzieć można, większość znaczna jego inteligencyi dała niejednokrotnie Rusinom dowody swych usposobień pojednawczych. Ci, co nie chcą mieć z nami nic wspólnego, niech idą swoją drogą, my baczmy tylko, żeby naszej drogi nie przekopywali i nie psuli. Bez uraz i niechęci, ale i bez ubliżającej nam uprzejmości pilnujmy ściśle swoich interesów narodowych, bez względu na stosunek ich do interesów ruskich, a wtedy zamiast sielankowego pojednania dojdziemy z czasem prawdopodobnie do rozsądnego z Rusinami kompromisu. *J. L. Jastrzębiec.*

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa, 26 czerwca.

Zajęcie się prasy rosyjskiej sprawą polską. Przyczyny tego objawu. Poszukiwanie kozła ofiarnego. Memoryał Szuwałowa. *Warszawskij Dniewnik* o żydach. Z cytadeli.

Ponieważ wchodzimy w okres, zwany u francuzów *saison morte*, u nas zaś w Warszawie — »sezonem ogórkowym«, więc czas jest właśnie ażebyśmy pomówili o ogólniejszych zagadnieniach naszego politycznego życia. Jest to zwyczaj przyjęty przez całą prasę, więc i my od niego odstępować nie będziemy.

Rzeczą, zasługującą na zanotowanie, jest pewne zajęcie, jakie się teraz objawia w prasie rosyjskiej względem sprawy polskiej, a właściwie względem stosunków rosyjsko-polskich Zjawisko to jest całkiem naturalne wobec zmian, które zaszły w naszem społeczeństwie. Po okresie absolutnej bierności, w społeczeństwie naszem od kilku lat poczyna się rozwijać pewien ruch polityczny, występują sprzeczne dąż-

ności, ścierają się wrogie opinie, jednem słowem rozmaite grupy społeczne zaczynają przybierać wyraźną fizyognomię polityczną. Rosyan z natury rzeczy musi przedewszystkiem interesować stanowisko, zajmowane przez rozmaite żywioły naszego społeczeństwa względem rządu i Rosyi. Niełatwo im jednak w tym względzie się zoryentować.

Jeżeli z wielką słusznością można powiedzieć, że my nie znamy Rosyi, że posiadamy o niej najbłędniejsze częstokroć pojęcia, to tymbardziej słusznem będzie zdanie, że społeczeństwo rosyjskie, a nawet sfery rządowe na miejscu nie znają nas, nie mają słabego nawet pojęcia o naszym sposobie myślenia. Objawia się to przedewszystkiem w sądach prasy rosyjskiej, wygłaszanych kategorycznie, z wielką pewnością siebie.

Opinia rosyjska przyzwyczaiła się do biernego przez długi czas zachowania się naszego ogółu, oduczyła się tedy brać nas w rachubę przy obliczeniach politycznych. Gdy przed kilku laty objawiły się u nas pierwsze po długiej przerwie drgnienia polityczne, w postaci manifestacyi przeciwrządowych, w Rosyi zrodziły one przedewszystkiem zdziwienie, jako przykra niespodzianka, a potem oburzenie, jako dowód nienawiści polskiej dla »niewinnych Rosyan«. To nie przeszkadzało, że ani ogół rosyjski, ani prasa manifestacyi tych nie rozumiała. Gdy znów ostatnimi czasy, z naszej strony wystąpiono dla odmiany z manifestacyami wiernopoddańczemi, znów rezultatem tego było zdziwienie, tym razem przyjemne, i optymistyczny pogląd, że ze sprawą polską nie jest tak źle, że Polaków można będzie tanim kosztem dla rządu i dla Rosyi pozyskać. I ten różowy sen wszakże nie mógł trwać zbyt długo. Stopniowo, zastanawiający się nad naszymi stosunkami Rosyanie musieli dojść do zrozumienia, że w naszem społeczeństwie, jak w każdem innem, panują rozmaite kierunki polityczne, a stąd już jeden krok do badania kwestyi: na czem te kierunki właściwie polegają i wśród jakich rozwijają się żywiołów. *Nowoje Wremia* sformułowało sobie tę rzecz zgruba ogłaszając, iż »śród Polaków wyraźnie występują dwa prądy: jeden — ugodowy, na którego czele stoi krakowski *Czas*, drugi — jawnie wrogi; jego organami są rozmaite gazety galicyjskie (przeważnie lwowskie) i *Dziennik poznański*. Z ostatnim prądem łączy się pewna część społeczeństwa polskiego, gdziekolwiek się ono znajduje«. Mamy tu więc pierwszy krok na drodze poznania prawdy, wprawdzie bardzo niezdarnie postawiony, ale mogący w dalszym ciągu doprowadzić do lepszych rezultatów.

Inne pisma idą dalej, doszukując się, kto, właściwie winien jest temu, że społeczeństwo polskie nie może się pogodzić z Rosyą, że panuje w niem wrogie usposobienie dla zaborczego rządu i dla wschodnich sąsiadów. Dawniej było w modzie oskarżać szlachtę i duchowieństwo, a rewolucyjna reputacya tych dwóch stanów przetrwała do ostatnich niemal czasów, i dziś dopiero zaczynają się w Rosyi oryentować, że dalsze powtarzanie tego oskarżenia niema żadnego sensu i może tylko kompromitować znajomość stosunków i zdolność do zdrowego sądu publicystów rosyjskich. Zaczęto tedy szukać nowego winowajcy i znaleziono go w t. zw. inteligencyi. Coraz częściej dają się słyszeć w Rosyi głosy, że winna wszystkiemu jest »inteligencya«, która działa jako czynnik, zaostrzający stosunki polsko-rosyjskie.

To zainteresowanie się prasy rosyjskiej kwestyą, dotychczas umyślnie przemilczaną, każe nam przepuszczać, że sprawa musiała wejść na porządek dzienny w sferach rządzących. Jednem ze znamion najbardziej wpływowej części prasy rosyjskiej jest to, że mając bliską styczność z rządem, stara się trzymać rękę na jego pulsie i przygotowywać społeczeństwo do dawek, preparowanych pocichu w ministeryach. Zainteresowanie się sprawą polską jest też, według wszelkiego prawdopodobieństwa, odbiciem pewnych narad, odbywających się w gabinetach ministeryalnych.

Zgadza się to przypuszczenie z wiadomością, że hr. Szuwałów złożył cąrowi przed koronacyą memoryał o Kongresówce, w którym wiele się mówi o stanie umysłów miejscowego społeczeństwa. Były ambasador miał zaopiniować, że arystokracyi polskiej i jej usposobienia względem rządu nie można brać w rachubę, ponieważ jest to warstwa bez wpływu, bez wszelkiego znaczenia politycznego, że lud względem rządu zajmuje stanowisko obojętne, że jednak możeby go się dało pozyskać; że wreszcie najbardziej wrogą dla rządu, najbardziej nieprzejednaną warstwą jest »inteligencya«. Jeżeli to jest istotnie streszczenie poglądów obecnego generał gubernatora — to musi być bardzo niedokładne. Jakkolwiek bowiem dowcipny jest ten podział społeczeństwa na arystokracyę, lud i inteligencyę, to przecież trudno przypuścić, ażeby zabrawszy się do pisania memoryału dla cara, kancelarya warszawskiego generał-gubernatora zdobyła się na tyle tylko mądrości politycznej. Zresztą mamy tu do czynienia z szablonowymi tylko ogólnikami; memoryał, mający służyć do wypracowania programu rządzenia krajem, musiał brać rzecz bardziej namacalnie.

Jest jedna rzecz ważna, na którą, niestety bardzo mało zwracamy uwagi — to polityka, jakiej się rząd zamierza trzymać względem żydów i jaką ostatni poczynają inaugurować.

Mówimy tym razem o żydach prawowiernych, wyznawcach religii mojżeszowej, nie zaś o części liberalnego mieszczaństwa pochodzenia żydowskiego.

W jednym z ostatnich numerów *Warsz. Dniewnika* znajdujemy artykuł wstępny, w którym czytamy:

»Podczas obchodu św. koronacyi w kraju tutejszym szczególnie uwydatniał się ten nastrój podniosły, z którym odniosła się do uroczystego zdarzenia miejscowa ludność żydowska. Przy wiadomej, dowiedzionej solidarności żydów, przyjęte przez nich obecnie postanowienie okazania czemś wydatnem swego stosunku do danego faktu, występuje jako swojego rodzaju wskaźnik współczesnego stanu przekonań i myśli politycznych tego żywiołu, grającego wybitną rolę w tutejszem życiu, żywiołu, który do obecnych czasów starał się do pewnego stopnia brać udział w życiu państwowem, pod osobną rubryką »Polaków wyznania mojżeszowego« i czasami bywał skłonny do podtrzymywania prądów separatystycznych, nie mających w swej istocie najmniejszego związku z narodowością żydowską.«

Organ tutejszej administracyi podnosi fakt, iż żydzi nietylko ze szczególną gorliwością iluminowali domy, ugaszczali ubogich i. t. d., ale że we wszystkich synagogach tutejszych rabini mieli mowy o koronacyi, a także układali na dzień uroczysty specyalne modlitwy, wreszcie kończy słowami:

»Niewątpliwie w życiu państwowem »Polaków wyznania mojżeszowego« nastąpiła nowa era!«

Podnoszę po raz wtóry tę sprawę, gdyż ma ona znaczenie wcale niepodrzędne. Co do artykułu *Warsz. Dniewnika*, to ten nie potrzebuje komentarzy. *Caveant consules*!

Zanim niezbyt bujna pomysłowość rosyjska coś nowego nam w polityce zainauguruje, stary, dochczasowy system dobrze daje się we znaki i czasami nawet powoduje wypadki sensacyjne. Do takich należy aresztowanie Chmielowskiego. Wieść o niem wywołała ogromne poruszenie, które w znacznej mierze musiało się przyczynić do tego, że zasłużonego pisarza już wypuszczono, dając mu pozwolenie na wyjazd. Niezdarna, przerutynowana żandarmerya popełniła *lapsus*, którego musi bardzo obecnie żałować, bo władze wyższe niechętnie patrzą na wybryki, robiące wiele hałasu i szerzące w społeczeństwie niepokój.

Trzeba być znakomitym, głośnym człowiekiem, żeby tak krótko czekać na wyjaśnienie sprawy i w ciągu kilku dni odzyskać odebraną niesłusznie wolność. Cisi, nieznani ludzie czekają na to miesiące, a nieraz i całe lata. Dowodem tego dzisiejsi mieszkańcy dziesiątego pawilonu, pomiędzy którymi są tacy, co od trzech lat w tem więzieniu siedzą. Trzy lata na śledztwie! — takie rzeczy zna tylko rosyjska procedura.

Sprawa młodzieży puławskiej ciągle jest w toku. Jest już rzeczą niewątpliwą, że studenci szkoły rolniczej oskarżeni są o stosunki z ludem i o działalność na polu oświaty ludowej. Dowód na to, że tak jest, posiadam w ręku. Z protokółów, spisywanych podczas indagacyi dowiadujemy się, że wszyscy są badani o stosunki z ludem i o organizacyę tajną, mającą na celu oświatę. Tak, Dutkiewiczowi np. zarzucają, że przywiózł do Puław listy składek na oświatę ludową, ustawę »koła centralnego« młodzieży oraz książki nielegalne; Prószyńskiemu, że był na jednem zebraniu z włościanami u siebie i na drugiem u Humla, na którem miał czytać wiersze patryotyczne; Śniechowskiemu, że posyłał do Warszawy pieniądze (10 rubli) przez Hempla na zakupno książeczek po zniżonej cenie (*„dieszowym obrazom“)*; Gałeckiemu, że jeździł do Warszawy w cywilnem ubraniu i że... raz wysiadł na stacyi praskiej i t. p. Wszystkie zarzuty są mniej więcej tego rodzaju. Na takiem śledztwie siedzą ci studenci już pół roku i Bóg wie, ile jeszcze mogą posiedzieć. Trudno, oficer prowadzący śledztwo bierze 3.000 rubli pensyi, więc musi na nią zarobić choćby rozdymaniem drobnych spraw do rozmiarów zamachu na tron lub całość granic państwa.

* * *

Suwałki 17 czerwca.

Wiadomości statystyczne. Stosunki ekonomiczne. Chłopi litewscy. Zajście w Łoździejach.

Przed paru miesiącami *Moskowskija Wiedomosti* zamieściły opis zajścia w Łoździejach, dowodzącego jakoby prześladowania Litwinów przez mniejszość polską. Chciałbym powiedzieć słów parę o tej sprawie i wogóle o stosunku Polaków do Litwinów w naszych stronach, ale przed tem muszę zapoznać czytelników *Przeglądu wszechpolskiego* z gubernią suwalską, o której nawet prasa warszawska rzadko zamieszcza skąpe, zwykle niedokładne wiadomości.

Gubernia suwalska, zajmująca północny kraniec Królestwa, utworzona została z części kilku województw dawnej Litwy i Korony, wskutek czego w południowych powiatach główną masę ludności stanowią Polacy, w północnych — Litwini. W południowo-wschodniej części powiatu augustowskiego, na granicy guberni grodzieńskiej mieszkają w 6 gminach, w liczbie kilkunastu tysięcy Białorusini, dawniej unici, przed dwudziestu laty »nawróceni« na prawosławie.

Według danych urzędowych miała gubernia suwalska w r. 1890 — 661.768 mieszkańców. Główną masę ludności, bo 51%, stanowią Litwini, którzy mieszkają w powiatach władysławowskim, wilkowyskim, maryampolskim, kalwaryjskim oraz w północno-wschodniej części powiatu sejneńskiego i w 2 gminach suwalskiego. Drugie miejsce pod względem liczebnym zajmuje ludność polska, stanowiąca z górą 21% ogółu mieszkańców. Zajmuje ona zachodnią połowę powiatu augustowskiego, zachodnią część powiatu sejneńskiego i cały niemal powiat suwalski. Do narodowości polskiej należą przeważnie właściciele ziemscy i znaczna część inteligencyi w całej gubernii. Są tu i owdzie w powiatach litewskich osady polskie, a w miastach sporo Polaków mieszka.

Żydzi są u nas liczniejsi, niż w innych guberniach Królestwa, gdyż stanowią $17\frac{1}{2}$% ludności. Pomówię o nich później, teraz zaś dodam dla uzupełnienia wykazu ludności, że oprócz Białorusinów mieszka w naszej gubernii kilka tysięcy rodowitych Rosyan, t. zw. Filiponów. Są to sekciarze — starowiercy, którzy osiedlili się tu za czasów polskich, uciekając przed prześladowaniem za wiarę. Niemców podaje statystyka urzędowa $6\frac{1}{2}$%, liczy bowiem do nich wszystkich protestantów. W rzeczywistości jest Niemców daleko mniej, odtrącić bowiem trzeba od cyfry urzędowej Polaków (Mazurów) i Litwinów wyznania ewangelickiego.

W czasie powstania gubernia suwalska ze względów wojskowych przyłączona została czasowo do generał gubernatorstwa wileńskiego i rządy Murawiewa wycisnęły na niej piętno, którego ślady dotychczas pozostały.*) Istniały tu wyjątkowe zarządzenia administracyjne, których gdzieindziej nie było. Można powiedzieć, że jest to jedyna część Królestwa, w której rusyfikacya zrobiła znaczne postępy, zawdzięczając je głównie Żydom. Żydzi tutejsi, podobnie jak ich współbracia litewscy, rusyfikują się chętnie. Wychowańcy gimnazyum suwalskiego Żydzi, przybywszy na uniwersytet do Warszawy, nie umieją, lub udają, że nie umieją po polsku i sami siebie nazywają *russkimi jewrejami* lub *russkimi litowcami*. Z Litwinów, kształcących się głównie w Moskwie, zruszczyła się również pewna liczba i zdarza się nawet czasem, że ci, którzy uchodzą za patryotów litewskich, są jednocześnie w działalności urzędowej gorliwymi rusyfikatorami. Oddalenie od Warszawy i brak dogodnej z nią komunikacyi, w znacznej mierze ułatwiały także rusyfikacyę Suwałk i całej gubernii.

Muszę chociaż w kilku słowach wspomnieć o naszych stosunkach społecznych i ekonomicznych. Przemysł i handel z powodu braku komunikacyi rozwijają się bardzo powoli. Większa własność ziemska, jak w całym kraju zresztą, nie stoi tu świetnie. Bardzo dużo majątków przeszło w ręce żydów, są okolice, gdzie stanowią oni większość właścicieli ziemskich. Sporo ziemi zakupili też Niemcy, a niekiedy całe folwarki nabywają zamożni włościanie litewscy.

Podczas ostatnich wyborów do Towarzystwa kredytowego ziemskiego (w maju r. b.) zdarzył się w Suwałkach wypadek skandaliczny. Kiedy ogłoszono, że na radcę wybrany został p. Zan, oświadczył p. Tukałło, właściciel ziemski, że wybory są nieważne, ponieważ jeden ze stowarzyszonych, żyd, kupował głosy. Sprawdzono oskarżenie i okazało się istotnie, że niektórzy właściciele ziemscy, żydzi chałatowi sprzedawali głosy, biorąc za nie dosyć tanio, bo po kilka rubli. Nieliczna i słaba ekonomicznie polska własność ziemska nie może wywierać odpowiedniego wpływu pod względem narodowym.

Polska ludność włościańska posiada szczupłe działy ziemi lichego gatunku i mimo większej pracowitości i zabiegliwości uboższą jest od Litwinów. Drobna szlachta, której sporo jest w powiecie augustowskim i sąsiednich odznacza się przemyślnością i garnie się do handlu, ale na ogół jest niewiele zamożniejszą od chłopów. Lud litewski odznacza się, a raczej do niedawna odznaczał się zamożnością. Grunta w powiatach litewskich są bardzo żyzne, a działy włościańskie były duże, stanowiły jakby niewielkie folwarki. Procesy, do których Litwini są bardzo skłonni, a przedewszystkiem spłaty spadkobierców podkopały dobrobyt włościan litewskich. Chłop litewski nie lubi dzielić ziemi, zostawia ją w całości jednemu z synów z obowiązkiem dawania rodzicom dożywocia i spłaty rodzeństwa. Przed 15—20 laty, kiedy ceny ziemi szły w górę, wysoko szaco-

---

*) Obecnie gubernia suwalska pod względem wojskowym należy znów od pewnego czasu do okręgu wileńskiego.

wano grunta i wyznaczono odpowiednie spłaty, z których teraźniejsi właściciele uiścić się nie mogą. Pozaciągali chłopi pożyczki lichwiarskie od żydów, którzy następnie dużo kolonii nabyli. Teraz żydom gruntów włościańskich kupować nie wolno, ale ten zakaz, wymijany zresztą, nie mógł polepszyć położenia włościan, przeciwnie, utrudnił tylko kredyt.

Chłopi litewscy chętnie oddają dzieci do szkoły i każdy z nich żywi w głębi serca nadzieję, że uczony syn zostanie księdzem, splendorem rodziny. W gimnazyum maryampolsktem uczą się przeważnie synowie włościańscy. Po powstaniu, w myśl planu Milutina rząd popierał rozwój narodowości litewskiej, zaprowadzono w szkołach ludowych język litewski, a w gimnazyum maryampolskiem wprowadzono jego wykład dla uczniów. I dzisiaj jeszcze rząd, choć nie pozwala drukować książek litewskich łacińskiemi czcionkami, kiedy ma do czynienia z Polakami, przeciwstawia im Litwinów. Dużo z tych ostatnich zawiodło nadzieje rodziców i po ukończeniu szkół wzgardziło stanem duchownym. Niektórzy osiedli na roli, inni podążyli do uniwersytetów rosyjskich, przeważnie do Moskwy. Ci, co wrócili, stanowią miejscową inteligencyę litewską, przeważnie wrogo względem Polaków usposobioną. Są wprawdzie nieliczni patryoci litewscy, inaczej względem Polaków usposobieni, najczęściej b. studenci uniwersytetu warszawskiego, ale mniej mają wpływu, niż pierwsi. Księża u nas są niemal wyłącznie Litwini, pobożna Litwa dostarcza ich nawet dla innych dyecezyi. W ostatnich czasach w seminaryum w Sejnach zapanowała niepodzielnie wyłączność litewska. Korzystając ze słabości charakteru biskupa Wierzbowskiego, zagorzalcy litewscy usuwać zaczęli z kościołów język polski. Dotychczas w niektórych kościołach w litewskiej części dyecezyi, ze względu na ludność mieszaną, śpiewy i kazania odbywały się w dwóch językach. Otóż z tych kościołów księża Litwini rugują teraz język polski, skargi Polaków, zanoszone do biskupa, nie miały żadnego skutku, a władza rosyjska usilnie takich księży popiera. Nieraz bywały już gorszące zajścia z tego powodu, a świeży wypadek w Łoździejach maluje dobrze stan sprawy. W parafii tej w powiecie sejneńskim mieszkają Polacy i Litwini, z których pierwsi mają większość znaczną. Język litewski nie był nigdy w kościele używany, dopiero w r. b. wprowadził go ksiądz Litwin i stopniowo usuwać zaczął język polski. Oburzyło to parafian Polaków, którzy nie chcieli się z nowością pogodzić i po dawnemu śpiewali w kościele po polsku. Ksiądz, podobno, podburzył Litwinów i ci postanowili śpiewać po swojemu. Jednocześne śpiewanie w dwóch językach doprowadziło do kłótni, a następnie do zaciętej bójki w kościele i na cmentarzu. Toczy się śledztwo w tej sprawie, które, z góry powiedzieć można, zwali winę na Polaków. Ale ukaranie winnych nie rozstrzygnie sporu. Jedni drugim za nic w świecie nie ustąpią teraz i trudno przewidzieć, czem się zatarg ten skończy. Nie jest zaś to zajście, jak już powiedziałem, wypadkiem odosobnionym, ale objawem znamiennym istniejących stosunków. Główna wina spada na duchowieństwo, nietylko na księży zagorzalców, ale i na władzę wyższą, która nieopatrznie rozdmuchiwać bezmyślną waśń narodową pozwoliła. Można było i należało koniecznie prawa obu języków słusznie rozgraniczyć i uregulować, nie jątrząc ani Polaków, ani Litwinów. Jedyną, śmiało powiedzieć można, przyczyną sporów i zajść przykrych jest postępowanie księży litewskich, którzy w tej sprawie umyślnie tak działają, żeby ludność polską obrazić i skrzywdzić. Są to w ogromnej większości ograniczeni fanatycy litewszczyzny, którzy ulegają obcym podszeptom i nie zdają sobie sprawy z tego, co robią. Znając ich, nie można wymagać od nich takiej i wyrozumiałości, której odrobina zapobiegłaby zgorszeniu, i tylko surowa karność i rozumna baczność władzy duchownej zwróciłby ich mogły z fałszywej drogi, po której krocząc, więcej może szkodzą sprawie litewskiej niż ludności polskiej. *D....r.*

Z ZABORU PRUSKIEGO.

Poznań, d. 26 czerwca.

Następstwa sprawy witaszyckiej. Prześladowanie barw polskich. Sprzedaż Dąbrówki. Mogiły. Stosunki dziennikarskie.

Sprawa witaszycka, jakkolwiek na pozór załatwiona pomyślnie, nie schodzi z porządku dziennego. Gazety niemieckie przy każdej sposobności wracają do niej i domagają się ukarania ks Szadzińskiego. Podobno nawet cesarz kazał przedstawić sobie akta tej sprawy i wycinki z dzienników, które o niej pisały. Nie jest to już zwykły zatarg między księdzem a władzą szkolną i policyjną, ale sprawa zasadnicza, sprawa polityki naszej. Przedstawiano uzyskanie dla duchowieństwa prawa dozoru nad nauką religii, jako cenną zdobycz polityki ugodowej, tymczasem ta inspekcya zaszkodziła raczej, aniżeli pomogła duchowieństwu, naraża go na przykrości lub zmusza do kompromisów z sumieniem i podkopuje jego powagę moralną i obywatelską. Zajścia, podobne do sporu ks. Szadzińskiego z nauczycielem powtarzać się muszą ciągle, jeżeli duchowieństwo nie zechce się nagiąć do wymagań polityki germanizacyjnej.

Nawet w tych sferach, które bezwzględnie polityce ugodowej hołdowały, zdaje się, zrozumiano wreszcie, że »współdziałanie kościoła z władzą« nietylko interesom narodu, ale i interesom duchowieństwa szkodzi. *Kuryer poznański* zamieścił list »posiwiałego kapłana«, który twierdzi, że pamięta rozmaite prądy w polityce rządowej, ale takiego jak dziś »znęcania się« nad duchowieństwem nie widział. Ciężkie było położenie księży w okresie walki kulturalnej, więziono ich, gwałtem wyrzucano z parafii, pozbawiano pensyi i dochodów, lecz te prześladowania »nie zdolne były podkopać powagi duchowieństwa, ani zachwiać ufności i przywiązania parafian do duszpasterzy, ani też rozniecić nienawiści i podejrzeń. Dziś niebezpieczeństwo jest większe«. Ksiądz musi ulegać władzy we wszystkiem, odezwanie się po polsku do dziatwy szkolnej i nauczyciela — to zbrodnia wobec majestatu przepisów szkolnych.

Posiwiały kapłan dochodzi do wniosku, że »u nas lepiej będzie dla kościoła i duchowieństwa, jak kościół zerwie ze szkołą i duchowieństwo usunie się od niej, aniżeli gdyby, przy obecnych stosunkach, kościół i duchowieństwo miało być tylko służebnicą dzisiejszego systemu w szkole«.

»Nikt zaprzeczyć nie może — pisze dalej ów kapłan — iż położenie dla nas duchownych wytworzyło się bardzo trudne i dlatego odzywam się do kapłanów: czy nie nadszedł czas, abyśmy, *salva obedientia*, władzę duchowną prosili, by nas zwolnić raczyła od obowiązku starania się o inspekcyę nad wykładem religi w szkołach pod takimi warunkami, jakie nam obecnie stawiają«.

To radykalne postawienie sprawy uzasadnia ów ksiądz tak. Źle jest, gdy kościół nie ma związku ze szkołą, ale gorzej jeszcze, gdy ma związek z taką szkołą, jaka jest u nas. Porzuciwszy inspekcyę w szkole, mogą księża gorliwiej i swobodniej uczyć religii w kościele. Dziś lud, widząc księży w szkołach, może sądzić, że uświęcają oni system, słusznie znienawidzony.

List owego księdza z Kujaw zasługuje na szczególną uwagę, nie ze względu na treść swoją, bo wielu kapłanów poglądy jego podziela, ale ze względu na tę okoliczność, że wydrukował go *Kuryer*, organ przyboczny arcybiskupa. To

właśnie jest objawem bardzo znamiennym, jakby zapowiedzią zmiany w postępowaniu duchowieństwa.

Podczas objazdu arcybiskupa w kilku miejscowościach policya nakazywała obywatelom usunąć flagi czerwone (właściwie amarantowe) i białe, a wiele osób skazano nawet na kary pieniężnie za wystawienie takich dwójbarwnych chorągiewek. W Poznaniu uczniom II szkoły ludowej poodbierano chorągiewki czerwone i białe z któremi chcieli iść na majówkę. Tymczasem okazuje się, że władze działały w podobnych wypadkach bezprawnie. Barwy czerwona i biała są też barwami prowincyi poznańskiej. Dzienniki ogłosiły wydany w r. 1882 reskrypt królewski, ustanawiający te barwy prowincyonalne. W dokumencie znajdujemy nawet dodatek: *dass das „Roth“ in den Farben carmoisinroth ist.* Wszystkie więc osoby, niesłusznie ukarane, mogą wnieść odwołanie do sądu, powołując się na ów reskrypt. *Posener Tageblatt*, który z »polskiemi chorągiewkami« wojował, żąda teraz zmiany barw prowincyonalnych i radzi czarno-białe, wyrażając zdanie, że rozkazem gabinetowym można tę zmianę zaprowadzić.

Nie pomogły, jak zresztą można było przewidzieć, nawoływania niektórych pism w sprawie sprzedaży Dąbrówki Ludomskiej. Znaczny ten obszar ziemi naszej kupił na licytacyi hakatystowski »Landbank« bardzo tanio, bo za 695,000 marek. Z Polaków stanął do licytacyi jeden tylko p. Taczanowski. Z faktami podobnymi godzić się trzeba, bo zapobiedz im nie umiemy. Nasze instytucye kapitałów odpowiednich nie posiadają. Z osób prywatnych ci, którzy chcieliby ziemię nabywać, pieniędzy nie mają, ci zaś, co je mają, nie troszczą się zwykle o to, że ziemia polska do Niemców przechodzi. Gdyby było u nas więcej energii, można było kupić Dąbrówkę zbiorowemi siłami i następnie rozparcelować. Byłby to nawet zapewne dobry interes, bo majątek sprzedano tanio. W Dąbrówce umarł zasłużony filantrop Karol Marcinkowski i tam znajduje się jego grobowiec, o którym Niemcy z pewnością pamiętać nie będą, a my bodaj zapomnimy, jak zapomnieliśmy o niejednym zabytku, uświęconym wielkiemi wspomnieniami, jak zapomnieliśmy o mogiłach poległych w r. 1848.

Za dwa lata przypada pięćdziesiąta rocznica owej walki, w której

... »trupy chłopów szarzeją w dali
Z pod Miłosławia i Wrześni.«

W tej walce, jak pod Racławicami, gromadnie brał udział lud polski. Mogiły poległych zaniedbane i opuszczone wymagają koniecznie odnowienia. Wzywa do tego *Goniec wielkopolski* i wylicza mogiły, które należy naprawić i żelaznemi sztachetami ogrodzić. Władze pruskie przeszkód stawić nie mogą, pieniądze znalazłyby się z pewnością, gdyby jakiś komitet utworzono, któryby przyjmował ofiary. Zresztą jeżeli Wielkopolska jest tak ubogą i tak obojętną, że o bohaterach walk narodowych zapomina, to ofiarność innych dzielnic koszta pokryje. Trzeba tylko sprawę tak postawić, żeby ludzie wiedzieli, komu mają pieniądze posyłać i byli pewni, że znajdą się tacy, którzy odnowieniem mogił zajmą się gorliwie.

Od pewnego czasu krążyły po mieście pogłoski, że *Przegląd poznański* przestanie wychodzić. Obecnie z wszelką pewnością zaręczyć można, że nasz tygodnik demokratyczny pozyskał na czas dłuższy trwałą podstawę bytu. Z radością fakt ten zaznaczamy, bo *Przegląd* w stosunkach tutejszych ma wielkie zadanie do spełnienia i coraz lepiej zadanie to rozumie.

Ciężka choroba p. Dobrowolskiego, redaktora *Dziennika poznańskiego*, dyrektora teatru i opiekuna lub członka wielu instytucyi wywołać musi znaczne u nas zmiany. Powiadają bowiem, że chociaż p. Dobrowolski wróci do zdrowia, nie będzie mógł wielu ze swych dawnych czynności spełniać. Przyjaciele jego mówią, że musiał brać na barki swoje mnóstwo prac, których inni wykonywać nie chcieli lub nie umieli, przeciwnicy twierdzą, że chciał kłaść rękę swoją na wszystkie sprawy i nikogo do współudziału w pracy nie dopuszczał, że nie znosił towarzyszy, ale chciał mieć tylko pomocników pokornych. Nie będziemy rozstrzygali tego sporu, zaznaczymy tylko, że w każdym razie usunięcie się z widowni pracy czynnej człowieka, który brał w niej udział przeważny, jest w naszych stosunkach wypadkiem doniosłym. Dyrekcya teatru, prowadzonego w ostatnich czasach nieudolnie i niedołężnie, przechodzi już niewątpliwie w inne ręce. Najwięcej kłopotu sprawia pytanie: kto zostanie redaktorem *Dziennika*. Jako głównych kandydatów wymieniają pp. Henryka Szumana, dawnego obywatela ziemskiego i posła do sejmu, oraz p. Głębockiego, również posła sejmowego. Spodziewano się, że w *Dzienniku* zastąpi z czasem redaktor a p. Kazimierz Puffke, główny współpracownik pisma, dziennikarz wykształcony i wytrawny. Ale p. Puffke zbyt był samodzielnym, żeby mógł się podobać koteryi i zniechęcony opuścił niedawno Poznań. *J. M.*

= *Mowa kandydacka ks. Wolszlegiera.* Wybory do sejmu w okręgu starogardzko-kościersko-kartuzkim odbędą się 30 czerwca, w chwili więc, kiedy nasz numer wyjdzie z pod prasy, rezultat ich będzie zapewne wiadomym. Dotychczas z okręgu tego posłowali Niemcy, którzy na ostatnich wyborach zwyciężyli naszych kandydatów niewielką ilością głosów. Znany dobrze ludności miejscowej ks. Tokarski zrzekł się ofiarowanej mu kandydatury, bo nie pozwoliła mu ubiegać się o mandat władza duchowna, postawiono więc kandydaturę ks. Wolszlegiera, który jest już posłem do parlamentu z Warmii. Ks. W. przyjął kandydaturę i na wiecu przedwyborczym w Bobowie wygłosił swój program polityczny, śmiałością i szczerością różniący się korzystnie od wykrętnej frazeologii p. Jaworskiego. Nazwał on błędnem zdanie, że ksiądz nie powinien zajmować się polityką, jak twierdzą niektóre wysokie i najwyższe osoby. Ksiądz jest obywatelem takim samym, jak inni, i w Polsce duchowieństwo zajmowało się zawsze gorliwie sprawami publicznemi. Nie chce jednak mówca powiedzieć, że »tylko księża albo jak też inni dowodzą, ludzie wysokiego rodu mogą i mają być posłami, broń Boże, chodzi li tylko o to, aby najzdolniejsi i najgodniejsi nimi byli. A gdy lud takich z pośród siebie wyda, kapłani chętnie złożą swe urzędy poselskie w ręce ludu«.

O polityce ugodowej wyraził się ks. Wolszlegier jasno: »My Polacy zawsze byliśmy za zgodą, bo myśmy władzy nigdy nie odmawiali przynależnych jej praw. Jeżeli zaś stosunki między nami a władzą są naprężone, to już to nie naszą jest winą, ale raczej tych, którzy nam praw naszych, czyli inaczej mówiąc, wymiaru prostej sprawiedliwości uporczywie odmawiają. To też polityka ugodowa jako taka jest *mrzonką*“.

Ks. Wolszlegier, podobnie jak p. Jaworski zaznaczył, że nie powinniśmy dzielić się na stronnictwa, ale treść tego oświadczenia jest zupełnie inną. »Co zaś szczególnie do Prus Zachodnich, to nie byłoby nawet czego dzielić na partye, bo tu jest jedna tylko partya, a tą jest *partya ludowa*. Obywateli większych szlacheckich już na dziesięciu palcach rąk i nóg policzyć można, więc na szali zaważyć nie mogą, to też wszelkie nasze nadzieje na przyszłość opierają się na ludzie, a mojem najgorętszem jest pragnieniem, aby lud doprowadzić do samowiedzy i doczekać się tego, aby lud ten z pośród siebie wysłał posłów do Berlina«.

»Nie powinniśmy — powiedział w końcu mówca — płaszczyć się wobec siły, ani ufać obiecankom, ale miejmy

wiarę w Boga i we własne siły, naśladujmy w sposobie walki Czechów, a żadne H. K. T. lub komisye kolonizacyjne nas nie zgnębią.«

Mowa zrobiła na słuchaczach wielkie wrażenie, oklaskiwano zwłaszcza zdanie, że polityka ugodowa jest mrzonką i że w Prusiech Zachodnich jest możliwem jedno tylko stronnictwo, mianowicie stronnictwo ludowe.

Z GALICYI.

Lwów 28 czerwca.

Kółka rolnicze. Zamiar wyzyskania ich w celach stronniczych. Uniwersytety ludowe. Zmiana ustawy wyborczej dla miast większych.

W pierwszych dniach lipca odbędzie się w Rzeszowie walne zgromadzenie dalegatów i członków kółek rolniczych. Niezbyt dawno istnieją w Galicyi Kółka rolnicze, przedstawiają już dziś jednak poważną siłę, mają bowiem kilkadziesiąt tysięcy członków. W ostatnim roku przybyło 88 kółek, a ogólna ich liczba przekroczyła tysiąc. Naturalnie nie wszystkie kółka działają jak należy, nawet nie wszystkie zarządy powiatowe pełnią sumiennie swoje obowiązki. Inaczej zresztą być nie może w instytucyi, z konieczności zorganizowanej luźnie. Kółka mają znaczną swobodę działania, a zarząd główny nie może ściśle wszystkich kontrolować. W każdym razie na ogół kółka, zwłaszcza w Galicyi zachodniej, rozwijają się we właściwym zakresie bardzo dobrze.

Oprócz specyalnych swoich zadań, mają one ogólne zadanie społeczno-wychowawcze, przyuczają lud do działalności zbiorowej, do pracy zorganizowanej, do samodzielności.

Niepożądanem byłoby przekraczanie tego zakresu, narzucanie kółkom celów i zdań, nic wspólnego z ich działalnością niemających. Niestety, w Galicyi niema bodaj jednej instytucyi społecznej, której pozwolonoby zostać, że tak powiem, apolityczną. Zaznaczyć zaś trzeba, że chociaż nietylko zachowawcy wyzyskują w ten sposób wszelkie instytucye, oni zawsze dają zły przykład. I kółka rolnicze pragną dziś wykoleić z właściwej drogi niepowołani obrońcy i wybawiciele społeczeństwa z rozstroju i waśni wewnętrznej. Większość szlachty jest usposobioną dla kółek nieprzychylnie lub obojętnie, jak wyznaje świadek w tym wypadku zupełnie wiarogodny, p. Merunowicz w *Gazecie narodowej*. Ale sztab stronnictw zachowawczych, obmyślający od zeszłorocznych wyborów plan przeciwdziałania »agitacyi radykalnej«, czyli mówiąc po prostu, ruchowi ludowemu, zwrócił uwagę na kółka rolnicze, które zresztą poprzednio już starali się opanować »przewodnicy społeczeństwa«. Otwarcie dziś wyznają oni, że chcieliby organizacyę kółek wyzyskać dla swych celów politycznych. Ma się rozumieć, stronnictwo przeciwne rozwinąć musi ze swej strony agitacyę również w celu zjednania sobie kółek. Rezultatem takiego współzawodnictwa politycznego może być tylko osłabienie instytucyi, działającej dotychczas pożytecznie. Konserwatyści kilka już instytucyi w podobny sposób obezwładnili, np. towarzystwa oświaty, które zeszły z właściwej drogi i robią daleko mniej, niżby robić mogły i powinny. Zdaje się jednak, że dzisiaj sprawa może wziąć inny obrót, świadomość ludu wzrosła i jeżeli stronnictwo ludowe zakrzątnie się gorliwie, sprawi tyle przynajmniej, że uniemożliwi przeciwnikom opanowanie kółek. Naszem zdaniem, nie należałoby wógóle do instytucyi tej wnosić sporów politycznych i społecznych, ale jeżeli jedno stronnictwo to uczyni, drugie musi przyjąć bitwę tam, gdzie przeciwnik zajął stanowisko.

Ileż to zabiegów i pieniędzy roztrwonili zachowawcy dla oddziaływania na lud — bez żadnego skutku. Macierz polska, czytelnie ludowe i t. d. mogłyby ogromny przynieść pożytek, gdyby ich umyślnie czy mimowolnie nie obezwładniono. W najlepszym razie taki tylko rezultat w sprawie kółek rolniczych osięgną, że ich działalność sparaliżują. Uniemożliwiając zaś wszelką pracę kulturalną, nie mającą wyraźnych tendencyi politycznych, ludzi, którzyby się jej poświęcić chcieli, popychają sami do opozycyi, albo w większości wypadków robią z nich rozczarowanych malkontentów, niezdolnych do żadnej działalności użytecznej.

Słowo polskie zamieściło sprawozdanie z działalności uniwersytetu ludowego, a raczej zorganizowanych wykładów popularnych w Wiedniu i zaznaczywszy, że instytucya w pierwszym roku istnienia, rozwinęła się wybornie, wzywa profesorów w Krakowie i Lwowie, ażeby podobne wykłady urządzili. Niewątpliwie byłaby to rzecz wielce pożyteczna i do wykonania nietrudna, znaleźliby się prelegenci i środki pieniężne, a słuchaczów nie zabrakłoby z pewnością. Ale i w tej sprawie nie obeszłoby się bez domieszki polityki. Obrońcy porządku społecznego chcieliby niewątpliwie za pomocą wykładów oddziaływać w pożądanym dla nich kierunku na rzemieślników i robotników i w rezultacie »uniwersytet ludowy« nie miałby sympatyi wśród inteligencyi, ani słuchaczów z ludu, stałby się przedsięwzięciem poronionem. W tych krajach, gdzie uniwersytety ludowe rozwijają się wspaniale — w Anglii, Szwecyi, Danii, Stanach Zjednoczonych — mają one zupełną swobodę i nikomu nie może przyjść nawet do głowy koncept, żeby z nich zrobić agencye stronnictwa.

Niedawno obradowała w Wydziale krajowym komisya, zwołana dla zbadania zamierzonych zmian w ordynacyi wyborczej dla 30 większych miast. Sejm oddawna zajmuje się tą sprawą i już w r. 1889, uchwalając ustawę dla 30 miast, zaznaczył potrzebę zmiany ordynacyi wyborczej i polecił Wydziałowi krajowemu opracowanie odpowiedniego projektu. Wydział następnie trzykrotnie przedstawiał sejmowi projekt, który jednak nie był nigdy przedmiotem obrad Dopiero w r. b. uchwalono, żeby wnieść projekt ponownie na najbliższą sesyę sejmu. Komisya, czyli jak piszą dzienniki — ankieta, zwołana obecnie, postanowiła przedstawić projekt, opracowany w r. 1893, z pewnemi zmianami. Projekt rozszerza prawo wybieralności z tytułu kwalifikacyi osobistej w celu wytworzenia przeciwwagi żywiołem niewykształconym, mającym obecnie wpływ niemal wyłączny na gospodarkę miejską. Drugą zmianą ważną jest zapewnienie ludności chrześcijańskiej, która w wielu miastach znajduje się w znacznej miejszości — odpowiedniej liczby przedstawicieli. Na wniosek prof. Pilata uchwalono, żeby wszelkie pożyczki, zaciągane przez magistraty, oraz wszelkie zamiany i sprzedaże przedstawiono do zatwierdzenia Wydziału krajowego.

Pozostawiono natomiast bez zmiany dotychczasowy podział wyborców na 3 koła, przedstawiające równą siłę podatkową. Utrzymanie kół wyborczych nie jest wcale »archaizmem u schyłku 19 stulecia«, jak twierdzi jedno z pism prowincyonalnych, bo w samorządzie miejskim i wogóle we wszystkich instytucyach samorządu przedstawicielstwo odrębnych interesów i odrębnych grup ludności jest zupełnie uprawnionem i prawie wszędzie w Europie istnieje. — Przykład Francyi, która zastosowała zasadę głosowania powszechnego do instytucyi samorządu, nie zachęca wcale do naśladowania. Możnaby dodać, że i przykład Lwowa, który wprawdzie głosowania powszechnego w wyborach miejskich nie zaprowadził, ale zniósł koła, nie jest również zachęcającym. Nie znaczy to jednak, że istniejący obecnie podział wyborców jest słusznym. Są przedewszyst-

kiem liczne grupy ludności, które w radach miejskich nie mają wcale przedstawicieli swych interesów i nie mają praw wyborczych. Jeżeli masy ludności uznano za zdolne do brania udziału w życiu politycznem i utworzono dla nich piątą kuryę, to tymbardziej należy im dać prawo wybierania przedstawicieli swoich interesów do rad miejskich. Powtóre zasada podziału na koła nie jest właściwą i pod tym względem zmiana byłaby również pożądaną. Samorząd galicyjski ma, zdaniem naszem, dwie wady zasadnicze: jedna tkwi w jego organizacyi, druga w samem społeczeństwie. Rady powiatowe i miejskie są niezależne prawie zupełnie od Wydziału krajowego, wskutek czego gospodarka ich jest niejednolitą, dowolną. W takich warunkach wszystko zależy od składu osobistego instytucyi samorządu, a w społeczeństwie galicyjskiem bardzo mało jest ludzi, uzdolnionych do pracy organicznej, twórczej i pojmujących szeroko jej zadania. Temu brakowi ludzi zmiana ustawy wyborczej nie zaradzi, ale chociaż w części zaradzićby mogło kierownictwo jednolite Wydziału krajowego. Dzisiaj gospodarka autonomiczna w miastach i powiatach z konieczności musi być lichą, zamkniętą w ciasnym zakresie, nie zdolną do wykonywania projektów szerszych, wymagających działalności łącznej, zorganizowanej. Każdą pracę, mającą znaczenie dla całego kraju, podejmować musi obecnie Wydział krajowy, który zwykle nie może używać do niej organów samorządu miejscowego, ale musi wytwarzać wciąż rosnący aparat biurokratyczny.

Zaczęły się już wybory do rad powiatowych. Stronnictwo ludowe od kilku miesięcy zwróciło na nie uwagę i prowadziło agitacyę. W powiecie pilzeńskim włościanie wybrali wyłącznie swoich kandydatów, pomimo nacisku ze strony władzy. Podobno obywatele ziemscy tak są tem »zuchwalstwem« chłopów oburzeni, że chcą wywołać umyślnie rozwiązanie rady powiatowej. Zdawałoby się, że w instytucyach samorządu udział włościan powinien być zupełnie uprawniony i pożądany. Podczas wyborów do sejmu mówiono, że chłopi powinni przejść wpierw szkołę działalności publicznej, przygotować się do niej w instytucyach autonomicznych. Rady powiatowe są przedstawicielstwem interesów, każda warstwa społeczna ma w nich zapewniony ustawą udział odpowiedni. Włościanie, wybierając swoich kandydatów, działają w myśl ustawy. Ale zacietrzewieni obrońcy przewagi szlacheckiej ani na argumenty rozsądku, ani na argumenty prawne nie zwracają uwagi. Nauczyć ich poszanowania ustaw i pojmowania obowiązków obywatelskich mogą chyba rezultaty wyborów w innych powiatach. Jeżeli włościanie w większości powiatów Galicyi zachodniej wybiorą swoich kandydatów — na nic nie zdadzą się zabiegi mające na celu rozwiązanie rad nowowybranych. *J. Raźmiak.*

= *Niemczyzna w Galicyi.* Polaka, który z zaboru rosyjskiego lub z Poznania pierwszy raz przyjeżdża do Galicyi i żywi błogą nadzieję, że wpadnie tu, »jak w centrum polszczyzny, gdzie się człowiek nałyka, nadysze ojczyzny«, ogarnia niemiłe zdziwienie, kiedy wciąż słyszy język niemiecki na kolei, w rozmowach na ulicy i w miejscach publicznych, kiedy widzi w kawiarniach mnóstwo pism niemieckich, a w restauracyach nawet spisy potraw po niemiecku drukowane. Poznawszy bliżej stosunki miejscowe, znaleść może mnóstwo dowodów dziwnej pobłażliwości, a nawet uprzejmej życzliwości dla niemczyzny. Są w Galicyi miasta i miasteczka powierzchownie na wpół zniemczone, zwłaszcza we wschodniej części kraju, gdzie przeważną część ludności miejskiej stanowią żydzi, lub na pograniczu Śląska. Biała np. jest miastem niemieckiem, chociaż Polacy stanowią większą część ludności, język niemiecki panuje tam wszechwładnie. Władze krajowe tolerują ten stan rzeczy, społeczeństwo energicznie przeciw niemu nie protestuje, nie domaga się zmiany, i jakby, uznając swoje upośledzenie, składa ofiary dobrowolne na szkołę polską, która powinna tam istnieć na koszt miasta. W Brodach język niemiecki jest w użyciu powszechnem, nawet w izbie handlowej, i teraz dopiero zajść ma zmiana na lepsze W Galicyi mamy 125 szkół niemieckich, oprócz 3 szkół dla dzieci wojskowych, nawet we Lwowie jest gimnazyum niemieckie, a w szkołach ludowych miejskich dręczą niemczyzną dzieci, które, wbrew wszelkim zasadom pedagogii, uczyć się tu muszą aż trzech języków. Słowem język i wogóle żywioł niemiecki zajmuje w Galicyi stanowisko, które mu się nie należy, a społeczeństwo znosi pobłażliwie takie stosunki i nie przeciwdziała im wcale.

Nie zadawala to jednak narodowców niemieckich i niedawno *Deutsche Zeitung* zamieściła artykuł o zaniku i prześladowaniu niemczyzny w Galicyi. Dziennik wiedeński zwraca szczególną uwagę na położenie kolonistów, osiedlonych w ubiegłym wieku, którzy zachowali poczucie niemieckie i których obojętni rodacy oddają dziś jakoby »na pastwę szlachcicom«.

Nie warto odpowiadać na skargi ani zbijać kłamliwych twierdzeń organu narodowców niemieckich, ale należy nam samym zastanowić się nad wpływem i znaczeniem niemczyzny w Galicyi, bo sprawa nie jest tak błahą, jak wielu ludzi, nie wnikając w nią głębiej, sądzi.

Niemców mamy w Galicyi około 230.000 czyli zaledwie $3^1/_2$% ogółu mieszkańców. Nie może być więc mowy o takiem bezpośredniem niebezpieczeństwie, jakie grozi np. kresom naszym w zaborze pruskim lub nawet na Śląsku austryackim. To tłómaczy naszą obojetność i pobłażliwość, ale jej nie usprawiedliwia, bo skutki pośrednie uprzywilejowanego stanowiska niemczyzny w Galicyi są dosyć ważne i należy zwrócić na nie baczną uwagę.

Tolerowanie języka niemieckiego w stosunkach publicznych i prywatnych wywiera wpływ demoralizujący na Polaków w zaborze rosyjskim i pruskim. Ogół ich nie zdaje sobie sprawy z tych pobudek, które na postępowanie społeczeństwa galicyjskiego wpływają, ale, wiedząc tylko o tem, że ma ono zapewnioną swobodę rozwoju narodowego, uważać musi takie stanowisko języka państwowego za fakt naturalny, konieczny.

Nie wiemy, ile przychodzi do Galicyi pism niemieckich, ale w każdej prawie kawiarni jest ich dwa razy więcej niż polskich. Klasy inteligentne prenumerują i czytają sporo pism niemieckich, i to jest jedną z przyczyn, dlaczego w Galicyi pisma literackie, zwłaszcza pisma ilustrowane utrzymać się nie mogą. Znieprawia to umysłowość naszą, osłabia samodzielność ducha narodowego i wytwarza coraz częstszy typ mieszańca, który uważa się za Polaka i mówi po polsku, ale ze sposobu myślenia, z upodobań i uczuć jest Niemcem.

Mamy w Galicyi możność rozwoju narodowego, powinniśmy więc tu starać się przedewszystkiem o usuwanie skutków zgubnych okaleczenia indywidualności narodowej, spowodowanego podziałem kraju i pozbawieniem narodu samodzielności politycznej. Jeżeli warunki życia państwowego utrudniają nam nieraz wytwarzanie instytucyj odrębnych, właściwościom i potrzebom narodu odpowiadających, to tymbardziej w drobnych nawet szczegółach należy im nadawać charakter polski. Nie dosyć, że Polacy zajmują urzędy, te urzędy powinny być polskie. Dotychczas, jak wiadomo, język niemiecki utrzymuje się jeszcze na kolejach państwowych, w zarządzie poczt i telegrafów i t. d.

Panowanie języka niemieckiego w wojsku ma być, jak twierdzą, koniecznem ze względu na jednolitość siły zbrojnej. Nie będziemy poruszali tej sprawy, zaznaczamy

tylko, że trudno zrozumieć zbawienny wpływ na sprawność i dzielność wojska komendy niemieckiej, której żołnierz nie rozumie i której w kilka lat po wyjściu ze służby zapomina. W celu zapewnienia tej wątpliwej jednolitości wielu oficerów Polaków służyć musi w pułkach niemieckich, a natomiast do pułków galicyjskich przysyłani są oficerowie Niemcy. Wprawdzie każdy oficer powinien znać *Regimentssprache*, t. j. język ludności, z której się rekrutują żołnierze pułku, ale ta znajomość jest często bardzo powierzchowną. Wojsko, właściwie oficerowie są główną podporą niemczyzny w Galicyi. O usposobieniu ich świadczą takie fakty, jak np. wypisanie się z kasyna w Tarnopolu z powodu, że korespondencya klubu prowadzona była w języku polskim. W delegacyach poseł polski, p. Popowski przedstawia zwykle sprawozdanie z budżetu ministeryum wojny, ale przy tej sposobności nie porusza nigdy stosunku armii do kraju, który, dając pieniądze na wojsko, może tyle przynajmniej wymagać, żeby nie szkodziło ono uprawnionym jego dążeniom i interesom narodowym, nie ubliżało jego uczuciom.

= *Obchody narodowe w Galicyi.* Dwóchsetną rocznicę zgonu Sobieskiego obchodzono we Lwowie 17 czerwca. Niektóre pisma zaznaczyły, że »obchód był pod każdym względem wspaniały«. Dziennikarz, który wygłosił to zdanie, nie widział zapewne nigdy, jak obchodzą rocznice narodowe gdzieindziej. Można było dzień cały spędzić na ulicach Lwowa i nie wiedzieć wcale o obchodzie. W kościele Bernardynów odprawiono nabożeństwo, bo w katedrze, jakby umyślnie, na kilka dni przed rocznicą zaczęto naprawiać ołtarz z polecenia arcybiskupa, który odmówił udziału w obchodzie, a raczej cofnął dane poprzednio przyrzeczenie. W sali ratuszowej p. Czołowski wygłosił odczyt, na którym nie było wcale członków rady miejskiej, a w szkołach miejskich rozdano dzieciom 7000 egzemplarzy numeru pamiątkowego *Małego Światka*.

Każdy obchód, smutny czy radosny, jest właściwie manifestacyą uczuć narodowych i powinien być uroczystym, w przeciwnym razie nie warto go wcale urządzać. Nie chodzi przecie o wdrażanie w pamięć ludności dat historycznych. Takie obchody, jakie kilka razy do roku, co najmniej, urządzane są w Galicyi, wyglądają jak parodye uroczystości narodowych. Nie budzą one, nie podnoszą uczuć narodowych, ale je kompromitują. Nie udają się one z dwóch przyczyn: powtarzają się za często, a ci, co je urządzają, chcieliby wykazać swój patryotyzm i zarazem uniknąć niezadowolenia sfer wyższych. Bo t. zw. sfery rządzące w Galicyi, naturalnie, nie lubią wszelkich obchodów, a tymbardziej obchodów, w których lud bierze udział gromadny. Sobieski nic matadorom galicyjskim i stańczykom nie zawinił, dla Austryi położył nawet wielkie zasługi, można więc pamięć jego uczcić, nie obrażając lojalizmu, ale nie trzeba przyuczać ludu do gromadzenia się, do wylegania na ulice i słuchania mów lub śpiewania pieśni patryotycznych. Urządzono więc obchód, ale zamknięto go w kościele, w sali ratuszowej, w szkole.

Patryoci i demokraci starego autoramentu nauczyli się przystosowywać swoje uczucia i zamiary do wymagań sfer wyższych. W parku stryjskim postawiono np. pomnik Kilińskiego, ale przy odsłonięciu jego nie było żadnej uroczyści. Załatwiono się z tem po cichu, ukradkiem. Spełniono obowiązek patryotyczny, i nie narażono się wcale władzy i stańczykom. Młodzież rzemieślnicza chciała to naprawić: pewnego wieczora oświetliła pomnik lampkami i odśpiewała przed nim chórem kilka pieśni patryotycznych. Skromnemu uczczeniu pamięci szewca-bohatera przypatrywała się gromadka ludzi. Nie chcemy ubliżać dobrym chęciom poczciwej młodzieży, ale robiło to bardzo przykre wrażenie. Dużo rozprawiają zachowawcy i demokraci o tem, że propaganda socyalistyczna osłabia w warstwie pracującej poczucie narodowe. Czyż w taki skromny sposób należało hołd oddać pamięci szewca - patryoty? Demonstracya w Warszawie, w setną rocznicę powstania kwietniowego, urządzana tajemnie, pod grozą policyi, zgromadziła więcej ludzi, wyglądała poważniej, bardziej imponująco.

Jeżeli nawet chcemy, to nie umiemy urządzać obchodów uroczystych, nie umiemy poruszać tłumów i kierować nimi, nie mamy usposobienia do wystąpień efektownych. Lepiej więc wyrzec się obchodzenia rocznic narodowych, aniżeli je profanować niedołęztwem, obojętnością lub tchórzostwem.

Z KRESÓW.

= *Towarzystwa polskie i policya pruska.* Od pewnego czasu władze policyjne pruskie gnębią systematycznie towarzystwa polskie pod pozorem, że są one politycznemi. Zwłaszcza w Prusiech zachodnich i na Śląsku są towarzystwa nasze skazywane wciąż pod tym pozorem na kary pieniężne dosyć wysokie.

W Katowicach istnieje »Towarzystwo przemysłowców polskich«, które zgodnie z przepisami prawa przedstawiło policyi we właściwym czasie ustawę i donosiło zawsze o przyjmowaniu nowych członków. Pewnego razu policya zażądała, żeby wskazano dokładnie zajęcie nowego członka, nazwanego w podaniu ogólnikowo robotnikiem. Przewodniczący, p. Lewandowski właściciel składów ubiorów, cygar i towarów kolonialnych, odpowiedział, że policya nie ma prawa pytać o to, bo towarzystwo nie jest politycznem. Policya wytoczyła wtedy towarzystwu proces i sąd ławniczy skazał je na 100 marek kary. P. Lewandowski apelował do izby karnej w Bytomiu i na rozprawie dowodził, że towarzystwo nie jest politycznem, bo według ustawy ma na celu jedynie wzajemną oświatę i zabawę towarzyską i wyklucza z obrad wszelkie sprawy polityczne.

Burmistrz katowicki Kosch i komisarz policyi Ludwig dowodzili, że towarzystwo niewątpliwie jest politycznem, bo należą do niego tylko Polacy. Sposób dowodzenia bardzo był ciekawy i charakterystyczny. Przed założeniem towarzystwa — mówił p. Kosch — *Gazeta opolska* pisała, że przyczynić się ono może do rozkwitu kupiectwa i przemysłu polskiego i do podniesienia dobrobytu narodowego. O przewodniczącym, p. Lewandowskim wiadomo, że stara się o rozbudzenie ducha narodowego i z pewnością działa w towarzystwie w tym kierunku, żeby »przeciwieństwo między jego członkami a obywatelami niemieckimi wzrastało«. Na posiedzeniach towarzystwa wygłaszano czasem odczyty historyczne i śpiewano pieśni narodowe. Na jednem posiedzeniu był obecny kupiec K. z Wrocławia, o którym policya doniosła, że jest »agitatorem wielkopolskim w rodzaju socyalistów« (?). Wreszcie jako ostatni argument przytoczył p. Kosch fakt, że podczas spisu ludności p. Lewandowski i inni członkowie towarzystwa podali się jako Polacy. Zresztą p. Lewandowski tak jest zuchwałym, że ośmiela się pisać Katowice, zamiast Kattowitz. Zając — zamiast Zajonz i t. d. i utrzymuje stosunki z Polakami w Krakowie, Poznaniu i Wrocławiu. Burmistrz zapewniał sąd, że mógłby dużo o tych stosunkach powiedzieć, ale, niestety, nie ma upoważnienia od władzy wyższej.

Komisarz Ludwig uznał, że nie zna *hoch-polnische Sprache* i polega tylko na wiadomościach, zebranych od policyanta, który, zdaje się, dobrze po polsku umie.

Sąd chciał zbadać, czy śpiewana na posiedzeniach towarzystwa pieśń: »Witaj majowa jutrzenko« jest polityczną czy nie. P. Kosch przedstawił przekład niemiecki, ale p. Lewandowski oświadczył, że tłómaczenie jest niedokładne. Wezwano jednego tłómacza sądowego, potem drugiego, ale obaj nie mogli dać sobie rady.

Izba karna odrzuciła apelacyę p. Lewandowskiego i zatwierdziła karę. Dyrektor sądowy p. Selle w motywach wyroku zaznaczył, że towarzystwo ma niewątpliwie »dążności wielkopolskie«, ustnie zaś dodał, że na Śląsku niema Polaków, są tylko Niemcy i Prusacy, p. Lewandowski działa wbrew prawu i sąd żałuje, że nie może go surowiej za to ukarać.

═ *Hakatyści na Warmii.* Dotychczas »towarzystwo popierania niemczyzny« rozwijało swoją działalność tylko w Poznańskiem i w Prusiech Zachodnich. Obecnie, jak donosi *Gazeta olsztyńska,* powstaje filia H. K. T. na Warmii, chociaż tam niemczyzna dosyć już gorliwie jest popieraną z urzędu i prywatnie. Zacznie się więc heca przeciw Polakom. Oprócz popierania niemczyzny będzie miało zapewne towarzystwo na celu i propagandę protestancką, bo rej w niem wiodą pastorzy Bormann i Sobobielski, superintendent Hassensrein i inni. Ale i katolicy zapisują się do towarzystwa, głównie nauczyciele gimnazyalni i urzędnicy.

Patryotyzm niemiecki nie przeszkadza jednak tym panom — pisze *Ermeland Zeitung* — sprowadzać robotników z Polski (t. j. z Królestwa), żeby na nich za pół ceny pracowali. Przyznać wszakże trzeba, że gnębią tych Polaków gorzej, niż poganie gnębili niewolników. Dziennik wyżej wymieniony zaznacza, że nawet na Węgrzech i w Rosyi, chociaż rząd dokucza, ale niema prywatnych towarzystw do przerabiania Niemców na Madziarów lub Rosyan.

Zapewne już pod wpływem agitacyi hakatystów dwóm Polakom, którzy przybyli do Olsztyna z Warszawy, nie chciano w hotelu wynająć numeru, ponieważ mówili po polsku.

Z WYCHODZTWA I KOLONIJ.

═ *Język polski w szkołach amerykańskich.* Pisaliśmy w numerze poprzdnim o podanej przez istniejące w Milwaukee Towarzystwo oświaty imienia Staszyca, — petycyi o wykład języka polskiego w szkołach publicznych miejskich. Sprawa idzie dobrze i z wszelkiem prawdopodobieństwem spodziewać się można, że podanie będzie uwzględnione. Księża polscy w Milwaukee występują coraz ostrzej przeciw inicyatorom petycyi, z ambony oświadczyli, że nie dadzą rozgrzeszenia tym, co ją podpisali, sami zaś zbierają podpisy na protestach. Spór zaostrza się coraz bardziej. Komisarza szkolnego Czerwińskiego, który stanął po stronie duchowieństwa, wykluczono z towarzystw polskich. Niektórzy księża z Chicago oświadczyli się przeciw kolegom milwauckim. Towarzystwo oświaty wybrało komitet, który ma przedstawić we właściwem świetle postępowanie księży polskich arcybiskupowi Katzerowi, a w razie potrzeby odwoła się do delegata papieskiego, ks. Satollego. Wszystkie niemal Towarzystwa polskie miejscowe potępiają stanowisko duchowieństwa w tej sprawie. Za petycyą, a więc przeciw dążeniom księży uchwaliły rezolucye następujące towarzystwa: Towarzystwo patryotyczne (grupa 14 Zw. N. P.), Towarzystwo Postęp, Towarzystwo przemysłowców polskich, Związek młodzieży polskiej, Kółko dramatyczne, Harmonia (chór żeński), Towarzystwo im. Hugona Kołłątaja (gr. 263 Zw. N. P.), Towarzystwo narodowe Bartosza Głowackiego, Towarzystwo Króla Kazimierza Wielkiego (gr. 307 Zw. N. P.) i kilka innych.

Z prasy polskiej przeciw nauce języka polskiego w szkołach publicznych występują tylko klerykalna *Wiara i Ojczyzna* tudzież *Polak w Ameryce* organ osławionego ks. Pitasa. *Wiara i Ojczyzna* zręcznie i wymownie polemizuje z przeciwnikami, ale argumenty, które na poparcie swego zdania przytacza, są dosyć słabe.

Księża obawiają się o szkoły parafialne. Zazwyczaj są to szkoły dosyć liche i lepszemi być nie mogą. Nie ma w Ameryce podostatkiem dobrych nauczycieli Polaków, a tamtejsze duchowieństwo polskie nie posiada, jak wiadomo, przymiotów moralnych i umysłowych, któreby je upoważniały do kierowania szkołami. Zresztą obawy księży nie są dostatecznie uzasadnione. Szkołom parafialnym uczniów nie zabraknie, ci zaś, którzy uczęszczają dziś do szkół publicznych i zapominają mówić po polsku, zyskają wiele. Nawet szkoły parafialne mogą skorzystać, bo obawa utracenia uczniów wpłynie niewątpliwie na podniesienie w nich poziomu nauki i wywoła ich zreformowanie.

Do szkół parafialnych uczęszcza tylko część dzieci polskich, inne chodzą do szkół publicznych, gdzie zwykle zaczynają się wynaradawiać. Ze względu na te dzieci zaprowadzenie nauki języka polskiego w szkołach miejskich jest pożądanem, chociażby to nawet trochę zaszkodziło szkołom parafialnym. Zysk w danym wypadku większy jest niż strata. Po dokładnem jednego i drugiej obrachowaniu spór ustać powinien. Ale w tej sprawie, jak w każdej innej, w społeczeństwie polsko-amerykańskiem biorą górę nad trzeźwym poglądem namiętności stronnicze, podsycane przez dosyć słuszną niechęć do duchowieństwa, dla którego właściwie interes narodowy jest obojętny, któremu głównie chodzi w tej sprawie o wpływ i korzyści osobiste.

PRZEGLĄD PRASY.

═ Z powodu zmian w naszem piśmie zabrały między innemi głos dwie gazety «antyszowinistyczne»: organ nadwiślańskich Rosyan, *Warszawskij Dniewnik*, i organ nadnewskich Polaków, *Kraj.* Pierwszy nazywa *Przegląd wszechpolski* »jednym z najbardziej szowinistycznych dzienników polskich i zaciekłym bojownikiem idei jagiellońskiej«, drugi zaś, przez mimowolną harmonię z tamtym, daje nam tytuł »organu skrajnego szowinizmu, traktującego o naszych stosunkach z takiego stanowiska i w takim tonie, jak organy »czerwonych« z przed 35 *laty* (chyba z przed 35 *lat*? *przyp. red.)*«.

Nie będziemy się wdawali w długą polemikę, gdyż do niczegoby ona nie doprowadziła. Zaznaczymy tylko, że, jeżli wstrętny nam jest szowinizm we właściwem tego słowa znaczeniu, to nigdy się wypierać nie będziemy tego, co nazywa szowinizmem u Polaków *Warsz. Dniewnik* albo *Kraj* — przeciwnie, pragniemy, ażeby taki »szowinizm« jak najbardziej w naszem społeczeństwie się rozwinął.

„Życzymy *Przeglądowi wszechpolskiemu* pod nową redakcyą — kończy swą notatkę tygodnik petersburski — ażeby porzucił dotychczasowe bałamutne drogi działania i nie zamieszczał bez kontroli korespondencyi z Warszawy, pisanych przez ludzi „gorącego serca, ale słabej głowy“.

Cóż na to odpowiedzieć?... Jeżeli nasi korespondenci mają gorące serca, to za złe im tego brać żadną miarą nie możemy, jeżeli zaś mają słabe głowy, to niewątpliwie jest źle, ale nie widzimy na to rady, nie wiemy bowiem, kim ich zastąpić. *Kraj* pewnie chce dać do zrozumienia, że w jego składzie są »mocne głowy«.... Chcielibyśmy w to wierzyć, ale, dalibóg, nie możemy. Próby ostatnich czasów wykazały, że głowy kierowników *Kraju* niezmiernie łatwo doznają zawrotu, nawet w braku gorącego serca, o które ich nikt nie posądza Słabe głowy, kiepskie serca — to jeszcze gorsze.

*

Zamiast powtarzać frazesy, których tyle razy nadużyto, *Kraj* lepiejby pomyślał nad tem, jakby naprawić zło, które od pewnego czasu systematycznie społeczeństwu wyrządza. Czy nasze drogi działania są »bałamutne«, to dopiero przyszłość pokaże, ale dziś dla każdego już jest rzeczą jasną, że *Kraj* i jego zwolennicy bałamucili przez długi czas nasz ogół bredniami, z których wszyscy teraz się śmieją.

Dobrzeby było porzucić stare nałogi. Niech *Kraj* bierze przykład z *Warsz. Dniewnika*, który zaczyna rozumieć sytuacyę i odpowiednio do tego nabierać nowych nałogów. Do takich należy liczenie na sukurs ze strony galicyjskiej prasy konserwatywnej przeciw »szowinistom«. Dowodem tego słowa, któremi organ warszawskiej administracyi i policyi kończy biadania nad pomyślnym rozwojem naszego pisma:

„Godną uwagi jest rzeczą, że ta propaganda szowinizmu nie wywołuje protestu ze strony konserwatywnej prasy galicyjsko-polskiej“.

═ Lwowska *Gazeta kościelna* we wspomnieniu pośmiertnem o biskupie płockim, ks. Nowodworskim, powiada:

„Jeżeli wszędzie urząd biskupi jest ciężkiem brzemieniem, to pod rządem rosyjskim nazwać go można bez przesady męczeństwem. Rząd gnębi, prześladuje, cienia swobody nie dozwala. Z papieżem znosić się wolno tylko przez ministeryum. Korespondencya z Rzymem wprost za zdradę stanu poczytana. Funduszów żadnych prawie dla seminaryum, duchowieństwa zakonnego żadnego, każdy ksiądz zły popierany przez rząd przeciw biskupowi, w końcu podejrzenia i obmowy od swoich: oto los polskiego biskupa. Doświadczył tego i ks. biskup Nowodworski, który, poświęciwszy całe życie pracy dla Kościoła i narodu, doczekał się tego, że przy schyłku życia *Przegląd wszechpolski* we Lwowie od czci i wiary go odsądził. Nie nowa to, niestety, rzecz w Polsce. Długosz w przedmowie do swych dziejów odzywa się do Zbigniewa Oleśnickiego: *Polonorum genus ad invidiam et obtrectationen plus quam ad caetera censetur magis proclivum et ingenia Polonorum ad invidiae facinus plus quam ad aliqua proniora existimantur.* Czy przez cztery wieki zmienił się nasz charakter narodowy? Podobno nic. Zawsze *invidia et obtrectatio* względem najzasłużeńszych ludzi“.

Słowa te wywołane zostały korespondencyą z Płocka, którą w swoim czasie, za życia biskupa zamieściliśmy a w której podano szereg faktów, świadczących, iż dostojnik kościelny wszedł na fałszywą drogę w polityce. Przyznać musimy, iż wolelibyśmy, ażeby, zamiast oskarżenia o *„invidiam et obtrectationem“*, organ duchowieństwa zbił prawdziwość przytoczonych w korespondencyi faktów. Nie myślimy zaprzeczać, że zmarły biskup położył znaczne zasługi dla kościoła swą wiedzą, pracowitością i energią, ale nikt chyba nie zaprzeczy, że polityka tego rodzaju, jaką uprawiał ks. biskup płocki, nic z dobrem kościoła wspólnego nie miała, a szkodząc interesom narodowym i sprzeciwiając się uczuciom wiernych, nie mogła kościołowi nie szkodzić. Myli się *Gazeta kościelna*, jeżeli przypuszcza, że podobne rzeczy się pisze dla przyjemności »odsądzania od czci i wiary« ludzi zasłużonych i zajmujących ważne, odpowiedzialne stanowiska, przeciwnie — rzecz to bardzo przykra, nie przychodząca łatwo, a często bolesne nawet bardzo operacye potrzebne są dla zdrowia organizmu. Im więcej ma niezaprzeczonych zasług za sobą człowiek, im wyższe, im odpowiedzialniejsze stanowisko zajmuje, tym większą ma ogół szkodę z jego błędów i tym mniej sumienie nam pozwala je tolerować.

Gdy skrajnie wrogi Polakom (i katolicyzmowi) *Swiet*, najdalej idący przedstawiciel panslawizmu, rozumianego, jako wszechrosyjskość, wszechprawosławie i wszechdespotyzm, poświęca zmarłemu biskupowi sympatyczne wspomnienie i nazywa go »jedynym bojownikiem za zgodę polsko-rosyjską i ideę wszechsłowiańską«, to w tej pochwale więcej jest odsądzania od czci i wiary, niż w naszym artykule pisanym za życia biskupa, wskazującym gołe fakty, do jakich ukrywania prasa nie jest upoważnioną. A któż winien temu, że polakożercy petersburscy uważają się za upoważnionych do pisania podobnych rzeczy?...

Tyle w odpowiedzi lwowskiemu organowi duchowieństwa.

Przy sposobności zaznaczymy, że trudno nam znaleźć odpowiedź dla warszawskiego korespondenta do medyolańskiego *Osservatore cattolico*, nazywającego nasze pismo »organem burzycieli i fałszywych patryotów«, którzy pod maską patryotyzmu kryją najczystszej wody antykatolickie cele, a szerzą wolnomularstwo i socyalizm Zarówno ów korespondent, jak powtarzający jego opinię *Kuryer poznański*, muszą się zadowolnić z naszej strony oświadczeniem, że naszego patryotyzmu nikomu nie będziemy dawali do analizy, dla oceny czy jest prawdziwym, czy fałszywym, każdemu wszakże pozwalamy wykazywać nam błędy lub złą wolę, byle w sposób rzeczowy, bez rzucania nikogo nie przekonywających frazesów o »antykatolickich celach«, »wolnomularstwie« lub tym podobnych rzeczach.

═ Autor listów »z zaboru rosyjskiego«, drukowanych stale w *Dzienniku poznańskim* opisuje, rozczarowanie deputacyi polskiej po powrocie z Moskwy:

„Panowie nasi popowracali z Mekki bardzo prędko: p. Skarzyński z Popowa był już dnia 3 b. m. w Warszawie. Czterech aż się ugina pod brzemieniem łask: otrzymali Stanisława III. klasy. Za tyle zabiegów, znojów, propagand, upodleń — order, dawany zwykle sekretarzom magistratów w miastach gubernialnych, burmistrzom miast mniejszych, wreszcie nawet zasłużonym adjunktom cyrkułowym w Warszawie — mogłaż być większa ironia? Oni tak się naupędzali za dobrodziejstwami dla kraju, tak wołali wciąż „gaście ogień“, tak uprzątali z przed rąk i oczu polskich najniewinniejsze nawet, ogniotrwałe zapałki, tyle progów, tyle słomianek rosyjskich czołami swemi nawycierali i za to wszystko „kraj“, to jest oni, otrzymują dobrodziejstwo Stanisława III klasy!“

Zaznaczywszy wysokie odznaczenia, które otrzymali Hurko, Orżewskij, Apuchtin i Szuwałow, o tym ostatnim korespondent tak pisze:

„Co do hrabiego, nie łudzą się już nawet szowiniści prawowierności. Wiedzą już teraz i rozpowiadają, że Szuwałow zdał carowi raport roczny, jak najnieprzychylniejszy dla szlachty i duchowieństwa, i nie tają, że memoryały, które generał-gubernator, okłamując panów polskich, pościągał z nich, posłużyły mu właśnie do ułożenia potępiającego sprawozdania i surowych wniosków, grożących nieszczęśliwemu narodowi nowym uciskiem, nowemi jego formami. Hr. Szuwałow miał już czas swą życzliwość, tajoną niby w widokach większej skuteczności, przedzierzgnąć w jawną nieżyczliwość. Gdy teraz w Moskwie podczas składania hołdu przez deputacye, defilujące przed tronem, Mikołaj II zatrzymał deputacyę warszawską (pan Filipowski, inżynier, w bliskich stosunkach z rodziną jenerała Brocka; hr. August Potocki i mianowany przez rząd prezydent, jenerał Bibikow) i powiedział jej kilka słów uprzejmych, spisano zaraz słowa monarsze i dla rozradowania niemi serc Warszawy postanowiono wysłać telegram o radosnem przemówieniu. Jenerał Bibikow nie opierał się zamiarowi, zastrzegł tylko odwołanie się do jenerał-gubernatora, jako naturalnego zwierzchnika i prezydenta deputacyi warszawskiej. Minister dworu ułożony już telegram zacyfrował, i zdawało się, że wyraźnemu życzeniu cara, aby podziękowanie objawione było mieszkańcom Warszawy — stanie się zadość. Ale inaczej postanowił jenerał Szuwałow: pozwolenia odmówił, nazywając wysłanie telegramu zbytecznem. Może było w nim co niebezpiecznego, może sam car wyrwał się z jakiem niebacznem słowem? Tego chyba żaden zapaleniec rosyjski najgorszego gatunku podejrzywać nie mógł.

Car powiedział: „Cieszę się, widząc tu deputacyę od mieszkańców miasta Warszawy, dziękuję za życzenia i za piękny podarunek (taca srebrna za 3 00 rubli) i proszę oświadczyć mieszkańcom miasta Warszawy moje serdeczne podziękowanie“. To wszystko — i to już wydało się Szuwałowowi „fermentem buntu“.

═ *Gazeta opolska* zamieściła bardzo charakterystyczny list jednego ze swych czytelników, opisujący jego roz-

mowę »z pewną poważną osobą z parafii«, niewątpliwie z księdzem-germanizatorem:

„Otóż życzyłem sobie od wielu lat książki Katarzyny Emerich i poszedłem w tym celu do owej osoby: czy ona nie wie, zkądbym ową książkę mógł nabyć. I tak przy rozmowie poleca mi owa osoba pewien druk, drukowany w „Schles. Volksztg.“ w Wrocławiu. Na to ja: Ta gazeta bardzo się z nami Polakami na Górnym Śląsku niesprawiedliwie obchodzi, więc my Polacy bylibyśmy ciemni, jak tabaka w rogu, gdybyśmy popierali tych, którzy nas biją. Tedy poważna osoba mnie łaje, mówiąc: Tu niema Polaków, tylko Niemcy. Ja jej na to: Bardzo mi dziwno, ale ja wilka na owieczki nie chcę wychować. Poważna osoba znów mnie łaje: Wy Poznaniaków słuchacie, a ci wam głowy zawracają. Gdyby nie ci, to już dziś na górnym Śląsku byłoby inaczej. A ja na to: Tak, to jużbyśmy dawno na ociepce słomy legali, a po pysku by nas tłukli. Tak sobie już w tych czasach pewien „gardłacz“ życzył. To by nas zaś tak batowali, jak naszych pradziadów. Lecz niema głupich. A poważna osoba łaje na mnie tak: Tak temu nie jest, jeno Poznaniacy winni, bo oni wielką Polskę stroją, a to już w wieczności nie będzie. Ja zaś na to: Gdym począł do szkoły uczęszczać i trochę potrafił czytać, to mi nauczyciel dał do ręki biblią, w której na pierwszej stronie było wydrukowane: Pan Bóg stworzył świat z niczego. Nie potrzebował żadnej materyi, a wszystko, co Pan Bóg stworzył, jest dobre i ma na świecie istnieć według woli boskiej. Tak stoi w biblii. A więc Pan Bóg chce, żeby Polacy także istnieli, bo ich stworzył. Gdzie my Polacy żyjemy, tam jest ziemia polska, ziemia nasza. Owa poważna osoba mnie łaje: A to ty myślisz, że n. p. Gliwice są polskie? Ja odpowiadam: A jakże i cały Ślask jest ziemią naszą, polską, aż het daleko pod Wrocław, który jest stolicą Śląska. W końcu mówiłem jeszcze do owej poważnej osoby tak: Stoi w piśmie świętem, że kto się podnosi w pychę, będzie poniżon. Niemcy nas chcą połykać, ale nas nie strawią, bośmy od Boga stworzeni i mamy istnieć według jego woli, jako naród, abyśmy go chwalili w naszym polskim języku ojczystym. Gdy nas chcą zniemczyć, to ktoby potem wzywał tych świętych, którzy w wielkiej liczbie żyli i pracowali nad swem i innych zbawieniem na ziemi polskiej, a teraz są w królestwie niebieskiem? Kto z ich r daków by wzywał n. p. św. Jacka, św. Stanisława, św. Jana Kantego i innych świętych?

— Autor zamieszczanych stale w *Dzienniku poznańskim* listów »z Anglii i o Anglii« podaje ciekawe wiadomości o polityce socyalistów:

„Socyaliści angielscy przygotowują się do kongresu międzynarodowego, jaki się ma odbyć w Londynie w końcu lipca r. b. Przyszły kongres będzie również czczym, jak poprzednie; te same deklamacye i te same wykrzykniki towarzyszyć będą paradzie rewolucyonistów. Różnica chyba ta będzie, że angielscy socyaliści będą mieli sposobność do wykrzyczenia się na cześć rewolucyi, o której, przyznajemy im to, wcale nie myślą. Zachodzi wszakże pytanie, dlaczego w Anglii, gdzie ruch robotniczy zawodowy trzyma się bardziej pozytywnej polityki, kongres socyalistyczny zachowa swą dawniejszą bezpłodność krzykacką? Pytanie to tymbardziej zasługuje na odpowiedź, że nawet we Francyi stronnictwo socyalistyczne przeszło na drogę parlamentarną! W czyim więc interesie leży, by zatrzymać dawny ton, dawne frazesy, w które dziś nikt już nie wierzy? Zdaniem naszem odpowiedzialność za to spada na niemiecką socyalną demokracyę. Ze spisu kwestyi, postawionych na porządek dzienny obrad kongresu, widać, jak dalece niedojrzałemi są wszystkie organizacye socyalistyczne, z wyjątkiem partyi niemieckiej. Ta ostatnia nie postawiła żadnego wniosku pod obrady, bo pełna „solidarności międzynarodowej“, gdy może sie wtrącać do cudzych spraw, bynajmniej nie ma zamiaru prosić innych o radę w swoich sprawach. I słusznie!“

Dlaczego jednak socyaliści niemieccy, będąc partyą wyrobioną politycznie, nietylko tolerują głupstwa innych, ale nawet podniecają do nich? Autor, p. W. N., tak to objaśnia:

„Na kongresie pp. Liebknecht i inni, którzy u siebie w domu trzymają się taktyki umiarkowania, a każdego zbyt głośno warcholącego nazywają ajentem prowokacyjnym, w Londynie będą nieprzejednani, znosić będą państwa i narodowości i dobijać się będą uchwał na rzecz „całkowitej i niepodzielnej rewolucyi“. Przyczyny tej taktyki są dwojakie. Niemieccy socyaliści mają dziś berło rządów w międzynarodówce, pomimo, że wskutek politycznego niedorozwoju *(sic)* Niemiec najmniej mogą oni działać na polu pozytywnej pracy reformatorskiej. Umiarkowani zawodowcy w Anglii i francuscy zwolennicy oportunizmu socyalistycznego więcej zdziałali, niż socyalna demokracya w Niemczech. Tego wszakże socyaliści niemieccy nie chcą przyznać, bo wyznanie takie odebrałoby im „pierwszą rolę“ i dlatego żądają całkowitej rewolucyi, tej samej, której się wyrzekają nad Sprewą. Powtóre: taktyką międzynarodówki było przedewszystkiem popierać zjednoczenie Niemiec; Marx i Engels użyli w tym celu wszystkich sił swoich. Podczas wojny włosko-austryackiej Engels wyraźnie wystąpił przeciw zjednoczeniu Włoch, bo Niemcy (t. j. żywioł niemiecki) stracą Po. Utrzymanie więc polityki zagranicznej ze strony socyalistów, sprzyjającej Niemcom, możliwem jest tylko wtedy, gdy w każdym kraju socyaliści trzymać się będą utopijnej polityki, podczas gdy w Niemczech uwzględniać będą interesy niemieckie. Dlatego też pp. Liebknecht i inni, którzy popierają interwencyę niemiecką w Transwalu, w Londynie będą głosić, że polityka kolonizacyjna jest grabieżą; dlatego też będą oni grali na fujarce „całkowitej rewolucyi“ i „czystego socyalizmu“, a angielskie, francuskie i inne wiatrogłowy będą tańczyć pod ton tej muzyki“.

Autor, który — zaznaczyć to trzeba — nie jest wcale przeciwnikiem socyalizmu, wspomina też o socyalistach polskich:

„W tym roku będzie także walka między polskimi socyalistami. Jedni chcą, by kongres oświadczył się za odbudowaniem Polski; drudzy tego nie chcą. Czytelnikowi „Dziennika“ to chyba wszystko jedno. Charakterystycznem jest, że socyaliści niemieccy są za wyrazem „Vereinigung“ prowincyi polskich. Pod czyjem berłem?“.

— *Nowoje Wremia* nie jest zadowolone z zachowania się duchowieństwa katolickiego na Litwie podczas uroczystości koronacyjnych.

„Wiele kościołów było bardzo licho przystrojonych, jakąś tylko jedną girlandą zieleni — z konieczności; księża, których uprzedzono o potrzebie uroczystych nabożeństw, odprawiali msze niedbale i kończyli nabożeństwo w ciągu jakich 30 do 40 minut, a na zebraniach publicznych w dzień koronacyi trzymali się w milczącem odosobnieniu, jakby chcieli z umysłu zaznaczyć wobec ludu, że nie biorą udziału w powszechnej radości“.

„Może to było — skutkiem spóźnienia się o jeden dzień nuncyusza Agliardiego na koronacyę do Moskwy. Gorliwi poplecznicy wojującego katolicyzmu na Litwie wzięli to spóźnienie, jak wiadomo, z góry zapowiedziane, za znak dany z Watykanu“.

Dziennik petersburski w celu podziałania na wyższą władzę duchowną wymyślił nawet oryginalny koncept, mianowicie dowodzi, że Polacy sami oburzą się na Rzym za utrudnianie im pojednania z Rosyą.

„Spodziewamy się jednakże, że logika rzeczy nauczy rozumu Rzym, i on wcześniej czy później pojmie, że jeżeliby chciał trzymać się nadal starej polskiej polityki, to wejdzie w zatarg nietylko z administracyą rosyjską, ale i z własną owczarnią, która zrozumie, kto za pomocą podburzania naraża ludność polsko-katolicką na Litwie na ograniczenia i represye“.

Jeżeli społeczeństwo polskie żywi urazę do Rzymu, to chyba za zbytnią uprzejmość kuryi dla rządu rosyjskiego, a w Watykanie z pewnością dobrze o tem wiedzą i rozumieją właściwe znaczenie śmiesznych i naiwnych manewrów prasy rosyjskiej.

— Redaktor *Pietierburskich Wiedomosti* z właściwą poetom niekonsekwencyą, ale z godną uznania w prasie rosyjskiej szczerością i odwagą, umieszcza w dzienniku swym artykuły i ogłasza fakty, przedstawiające w prawdziwem świetle stosunek rządu rosyjskiego do katolicyzmu i polskości. W jednym z ostatnich numerów znajdujemy w piśmie tem list zbiorowy z gminy Medwiedycze w Słuczczyznie:

„Dnia dwudziestego listopada roku pozaprzeszłego — 1894 — isprawnik powiatu słuckiego i jeden z członków mińskiego urzędu gubernialnego do spraw włościańskich wezwali nas do złożenia przysięgi wiernopoddańczej; my zaś, odczuwając świętość przysięgi, chcieliśmy złożyć przysięgę nie za pośrednictwem „świaszczennika“ — lecz za pośrednictwem księdza, ponieważ urodziliśmy się katolikami i ochrzczeni jesteśmy według obrządku kościoła rzymsko-katolickiego; na nieszczęście nasze pp. isprawnik i członek zarządu gubernialnego

wzięli nam za złe naszą propozycyę i spisali protokół, jakobyśmy się od przysięgi uchylali.

„My — uchowaj Boże — od przysięgi się nie uchylamy, lecz pragniemy jedynie przysięgać za pośrednictwem księdza, według obrządku rzymsko-katolickiego, w której to religii urodzili się nasi dziadowie, pradziadowie i my — aby przysięga święcie była dochowaną; myśmy i teraz gotowi z pobożnością i szczeremi myślami złożyć świętą przysięgę, pozostając wiernymi poddanymi do grobu, po dawnemu nie poczuwając się do żadnej winy, lecz pragniemy tylko, aby sumienie nasze nienaruszonem było.

„Leją się łzy nieszczęśliwych i biednych włościan: około czterech tysięcy dusz cierpi bez kościoła od roku 1864 i do tej pory dzieci nasze są niechrzczone, do spowiedzi nie chodzą nigdy, a nas prześladują do ostatnich granic możności. Nawet dzieci nasze wstępują do służby wojskowej niechrzczone, nakładają na nas różne kary, mówiąc, iż jesteśmy prawosławnymi, a w rzeczywistości jesteśmy katolicy; tym sposobem nasz Miedwedycki zarząd gminny nie wydaje nam paszportów; skarżyliśmy się na to niejednokrotnie, lecz dotychczas nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi".

„Wiernopoddani włościanie gubernii mińskiej, powiatu słuckiego, gminy Miedwedyckiej, wsi: Rusinowicze, Mazurki, Smaleniki, Żarskie, Talminowicze, Kursznowicze, Ososy i Hanczary, podpisują się własnoręcznie: *Kazimierz Grykiel, Kazimierz Janik, Michał Makowiecki, Jan Skrzycki*".

Takich przymuszonych wyznawców prawosławia znajduje się w gub. Mińskiej kilkadziesiąt tysięcy. Kościół katolicki uważa ich za owce stracone, ale oni ani zapomnieć, ani pogodzić się z losem swoim nie mogą.

═ *Nowoje Wremia* zamieszcza dłuższy artykuł p. t. »Co wywołało katastrofę na kolei warszawsko-terespolskiej«, będący całkowitem potwierdzeniem zdania naszego korespondenta warszawskiego o przyczynach wypadku (patrz Nr. 12). Dziennik petersburski podaje dosyć ciekawe rzeczy.

„W ciągu o s t a t n i c h l a t t r z e c h z górą spóźnianie się pociągów na drodze warsz.-terespolskiej stało się jakby chorobą chroniczną: opóźnienia wynosiły nie minuty, ale godziny. Otóż naczelnik drogi, pragnąc temu zapobiedz, wydał 17 listopada 1895 r. za Nr. 150 okólnik, w którym powiada, że ponieważ wszystkie opóźnienia pociągów, o czem się przekonał, powstają wyłącznie skutkiem niedbałego traktowania obowiązków ze strony służby stacyjnej i maszynistów i ponieważ wszystkie ich wymówki nie zasługują z jego strony na usprawiedliwienie, tedy ogłasza iż winni opóźnienia pociągów będą karani przez strącanie z pensyi za opóźnienia pociągów osobowych po 5 kop. za każdą minutę, a za pociągi towarowe po 1 kop. za minutę; prócz tego, w § 5 tegoż okólnika powiedziano, że, jeżeli oskarżeni o opóźnienie pociągów będą się w jakikolwiek sposób usprawiedliwiali, to on, t. j. naczelnik drogi, będzie posyłał specyalnych agentów dla zbadania sprawy, przyczem wynagrodzenie delegowanych do tych śledztw agentów, będzie wyznaczane przez niego, t. j. naczelnika drogi na rachunek winnych, według jego osobistej opinii".

W dalszym ciągu *Nowoje Wremia* daje dowody, że okólnik ten nie pozostał martwą literą, z następnych bowiem okólników można widzieć,

„że kary nakładane na osoby, pobierające od 15 do 40 rubli miesięcznie, dochodzą do 20 rubli, a ogólna liczba karanych do 250 o s ó b m i e s i ę c z n i e. Zdarzało się, że przy pensyi czterdziestorublowej dla rodziny pozostawało 20 rubli, a czasami nie starczyło nawet utrzymania miesięcznego".

Gdyby tego nie podawało pismo rosyjskie i to tak dalekie od wszelkiej opozycyi, jak *Nowoje Wremia*, to niktby pewnie nie chciał wierzyć w możliwość podobnej gospodarki. Słusznie mówi dziennik petersburski, że zawczasu należało się spodziewać, iż okólnik dyrektora kolei doprowadzi do jakiejś katastrofy, że w warunkach obecnej gospodarki częstokroć ani służba stacyjna, ani maszyniści nie mogą zapobiedz opóźnianiu się pociągów. Do najważniejszych przyczyn tego, według autora artykułu, należą: 1) zły stan lokomotyw, starych i zniszczonych, 2) zły gatunek węgla, 3) niedostateczna ilość służby.

Umyślnieśmy podkreślili na początku cytaty twierdzenie, że opóźnienia pociągów stały się dolegliwością kolei »w c i ą g u t r z e c h l a t o s t a t n i c h«. Przypomnimy czytelnikom, że te trzy lata, to są właśnie t r z y p i e r w s z e l a t a g o s p o d a r k i r o s y j s k i e j n a t e j k o l e i. Przed trzema laty z górą rząd, skupujący kolej od akcyonaryuszów, usunął w ciągu krótkiego czasu wszystkich wyższych urzędników Polaków, a sprowadził na ich miejsce Rosyan, a następnie poobsadzał Rosyanami większość miejsc w biurach, warsztatach, służbie stacyjnej i pociągowej. Przybysze ci, popierwsze niedość zdolni do obsługiwania jednej z najruchliwszych linii w państwie, a następnie niedość sumienni, żeby nie »robić oszczędności« dla siebie przy zakupywaniu węgla, maszyn i t. p., zdezorganizowali kolej, a następnie, chcąc ją doprowadzić do porządku systemem rosyjskim t. j. karami, wywołali katastrofę i pomordowali pasażerów*).

Na pytanie tedy: kto winien nieszczęściu? — jedna jest ogólna odpowiedź: g w a ł t o w n a, n i e l i c z ą c a się z żadnymi względami rusyfikacya. Może ta katastrofa otworzy oczy rządowi na nową stronę gospodarki rosyjskiej w Polsce i spowoduje założenie w kancelaryach nowego zeszytu aktów p. t. »Rusyfikacya a bezpieczeństwo osobiste obywateli«.

═ Niepoprawny jest korespondent warszawski *Nowego Wremieni*. Ubolewa on nad wystawą hygieniczną w Warszawie, że jest ona przedsięwzięciem czysto polskiem, że Polacy nie chcą zrozumieć, iż bez udziału Rosyan nic porządnego zrobić nie są w stanie. Wskazuje on braki wystawy, wynikające z powstrzymania się od udziału ciała profesorskiego szkół rządowych i t. p, a jednocześnie szuka dowodów na to, że moskiewszczyzna jest na wystawie prześladowana. Gdzieś tam na pawilonie widział napisy polskie od przodu, a rosyjskie od tyłu, to znów spostrzegł rzeźbę, w której dopatrzył się niesympatycznego symbolu.

„Ciekawą jest też rzeczą — powiada — że na środku placu wystawowego stoi rzeźba, przedstawiająca niedźwiedzia, który dusi delfina. Ponieważ wszystkie obrazy i rzeźby, zdobiące wystawę, mają charakter alegoryczny, (jeden obraz przedstawia alegorycznie siłę, inny zdrowie i t. d.) i ponieważ wiadomo, że pod niedźwiedziem zwykle w karykaturach i obrazach alegorycznych domyślać się należy „m a t u s z k i — R u s i", a herb Warszawy, syrena, przypomina delfina, przeto niedźwiedź ten wywołuje u wielu Rosyan wzruszenie ramionami. Czy nie można czasem delfina zastąpić przez wdzięczną syrenę, spoczywającą na potężnych łapach niedźwiedzia?".

Doprawdy pp. Rosyanom trudno dogodzić. Gdyby tak posłuchać ostatniej rady korespondenta, powiedziałby znów, iż rzeźbą postarano się przypomnieć sprawę Barteniewa i Wisnowskiej.

Z OBCEGO ŚWIATA.

═ *List otwarty do Mikołaja II.* Otrzymaliśmy niedawno broszurkę w języku rosyjskim, wydaną pod powyższym tytułem, obecnie podawaną w przekładzie przez dzienniki zagraniczne. Nie jest to wydawnictwo rewolucyonistów, ani nawet konstytucyonalistów, ale wyznanie wiary bardzo umiarkowanych liberałów, którzy ogłosili poprzednio drukiem »Adresy ziemstw« i uwagi z powodu »pierwszej mowy carskiej«. Żądania ich są bardzo skromne, domagają się tylko ograniczenia samowoli biurokratycznej i rozszerzenia samorządu ziemskiego. We wszystkich trzech broszurach znajdujemy tylko ogólnikowe zdania o ucisku narodowości nierosyjskich, a autorowie tych broszur jak gdyby obawiali się mówić o Polsce Z »listu otwartego« przytoczymy tu kilka ustępów dla scharakteryzowania tej odezwy:

*) Niedawno wyszedł okólnik dyrektora tejże kolei, polecający służbie pociągowej brać na pośrednich stacyach tylko tylu podróżnych, na ilu jest miejsce w pociągu. Na rosyjskiej więc organizacyi kolei zyskuje i wygoda publiczności.

»Najjaśniejszy Panie! Tron Twój otaczają ludzie, w których interesie leży ukrywać przed Tobą prawdziwe położenie państwa rosyjskiego i istotne zapatrywania poddanych Twoich. Skoro odrzucasz sam w sposób szorstki uzasadnione żądania zgromadzeń prowincyonalnych, skoro gnieciesz coraz bardziej środkami represyjnymi prasę naszą, powiększasz tem samem coraz bardziej niebezpieczeństwo tej niepewności. Nie chcesz patrzeć, nie chcesz słuchać! Pozwól tedy, by dobiegły do Ciebie, przynajmniej od czasu do czasu, słabe słowa nasze«.

»Urzędnicy zdają sobie dokładnie sprawę z korzyści, jakie im zapewniają absolutne rządy państwa. Jak długo Ty, Najjaśniejszy Panie, uważasz się za uprawnionego do myślenia, działania i rozstrzygania w imieniu milionów ludu, jak długo każde dążenie ludu do poprawy bytu swego uważać będziesz za ukrócenie świętych praw Twoich, tak długo będą urzędnicy państwa, zasłaniając się tarczą Twojej osoby, o swoje tylko dbać sprawy, wyśmiewać słuszne żądania ludu, łamać ustawy, nadużywać władzy urzędowej, gwałcić opinią publiczną. Ludziom tym nie trzeba owej starej, patryarchalnej autokracyi, która dozwalała reprezentantom ludu w publicznych sprawach brać udział, stworzyli sobie bowiem autokracyę nową, wedle swego widzimisię, nie wedle Twoich zapatrywań, Panie! Użyją oni wszelkich środków, by do ostateczności bronić gwałtów, przez urzędników Twych popełnianych... Nie daj się oszukać, Najjaśniejszy Panie, przepychem uroczystości koronacyjnych. Gdy ujrzysz udekorowane domy, gdy ujrzysz oświetlone okna mieszkań miasta Twego, pomnij, że policya lojalność Twych poddanych ocenia wysokością kosztów, jakie na urządzenie tych uroczystości łożą. Gdy deputacye składać Ci będą obrazy i kosztowne dary, to wiedz, iż stało się to dlatego, że zakazano im składać memoryały i prośby. Gdy tłum zagłuszy Cię swojem »hurra!« to dlatego, że wyćwiczono młodzież z rozporządzenia władz w sztuce wznoszenia okrzyków, że polecono nagromadzić w Moskwie jak największą ilość chłopów, mających radość ludu przedstawiać, bo w końcu w tłumie tym znajdować się będą raczej przebrani agenci policyjni, niż manifestujący lud. Entuzyastyczne krzyki te nie wyrażają świadomej miłości wolnych obywateli, lecz bezmyślny zachwyt tych półdzikich wydziedziczonych, co w głośnym szumie uroczystości nędzę codziennego życia ukryć pragną. Miliony, które pokryć mają koszta uroczystości koronacyjnych, wydarto po kopiejce biednemu i rozgoryczonemu ludowi Twemu i to za pomocą zwykłych środków: wymuszeń i groźb, jakiemi posługuje się zawsze armia policyantów Twoich, Najjaśniejszy Panie«.

Nowym tonem w tem wyznaniu wiary liberalizmu rosyjskiego jest wyzierająca z każdego wiersza nienawiść do biurokracyi. Jest to objaw znamienny, bo dotychczas nawet radykalizm rosyjski był w gruncie rzeczy biurokratycznym.

»Drżysz, Najjaśniejszy Panie — powiadają autorowie listu tego dalej — przed widmem terroryzmu, a większość ludu rosyjskiego, daleka od sympatyi do ruchu rewolucyjnego, nie zapoznaje praw twych do samoochrony swych interesów. Ale rząd Twój nietylko terrorystów prześladuje: gnębi i dusi wszystko, co tylko jest żywotnego w narodzie... Oto właśnie dla czego rosyjski rząd imać się musi zarządzeń co do środków ostrożności podczas uroczystości koronacyjnych, a te zwracają się nietylko przeciw możliwym powstaniom chłopów, lecz także przeciw terrorystycznym zamachom. Stroją domy i ulice Moskwy w kwiaty, chorągwie i dywany, ale równocześnie ściąga się do niej pułki wojsk i armią policyi z wszystkich miast rosyjskich. Piwnice domów w ulicach, któremi pochód postępować będzie, zamykają, a drzwi takowych pieczętują. Wstęp do domów tych dozwolony jest tylko tym, którzy karty wstępu dostali. Robotnicy fabryczni będą pod surową obserwacyą; wielu z nich wydalono z Moskwy na czas uroczystości. Liczba osób, które tylko z powodu, iż je policya podejrzywa, z Moskwy wydalono, wynosi przeszło 4000: są to obywatele, którzy udać się chcieli na sezon kąpielowy do Kaukazu lub Krymu, a których zmuszono bez żadnych apelacyi do wyjazdu do Wiatki lub Wołogdy; młode dziewczęta, których drzwi o 6-tej rano wysadzają żandarmi; starcy, którzy trzy razy na dzień przyjmować muszą wizyty tajnej policyi, zmuszającej ich do »dobrowolnego« wyjazdu.«

»List otwarty« stara się przekonać cara że tym straszniejszym będzie wybuch nienawiści ludu, im okrutniej tłumi biurokracya słuszne jego żądania i lekceważy jego potrzeby.

═ *Rozruchy robotnicze w Rosyi.* W dwa tygodnie po zaburzeniach ulicznych w Petersburgu, które były tylko swawolą pijanego tłumu, strejkować zaczęli robotnicy w przędzalniach i fabrykach wyrobów metalicznych. Podczas uroczystości koronacyjnych uwolniono ich na trzy dni od roboty, ale wytrącono z zarobku odpowiednią sumę. Obecnie domagają się robotnicy zapłaty za te dni, skrócenia czasu pracy z 14 na 12 godzin i regularnej wypłaty zarobku. Strejkuje dotychczas około 20.000 ludzi. Zjawiły się odezwy z podpisem »Związek do walki o wyzwolenie klasy pracującej«. Długie trwanie strejku każe przypuszczać, że robotnicy są jako tako zorganizowani i otrzymują zasiłki pieniężne.

Zresztą sam minister finansów, Witte w okólniku, wydanym do inspektorów fabrycznych, wyznaje, że strejk jest następstwem agitacyi socyalistycznej, pisze bowiem: »Rozruchy robotnicze w ostatnim czasie należy przypisać tym osobistościom, które dążą do wytworzenia w Rosyi sztucznym sposobem tego rozdwojenia, jakie istnieje w zachodniej Europie pomiędzy robotnikami a pracodawcami. Agitatorowie ci są najgorszymi wrogami nietylko ustroju społecznego, ale i samych robotników. Są oni tym niebezpieczniejsi, że w imię idei oderwanych lub fałszywych doktryn, zupełnie niezgodnych z zapatrywaniami i życiem narodu rosyjskiego, szerzą zamieszanie pośród robotników«.

Robotnicy zachowują się dosyć spokojnie, chociaż były rozruchy, wywołane niewłaściwem i szorstkiem postępowaniem policyi. Ta ostatnia obawia się, że robotnicy, jak zapowiedzieli podczas wjazdu cara zgromadzą się tłumnie, i przedstawią mu swoje żądania.

W Iwanowo-Wozniesieńsku, głównem ognisku przemysłu tkackiego, oraz w kilku innych miejscowościach w okręgu fabrycznym włodzimiersko-moskiewskim również zaprzestali robotnicy pracować.

Ostatnie gazety donoszą, że robotnicy w Petersburgu wracają do pracy, władza bowiem zaczęła gromadnie wysyłać opornych do miejsca urodzenia.

═ *Polacy na wystawie w Peszcie.* Na kongres dziennikarzy i literatów w Peszcie przybyło 10 Polaków. Po raz pierwszy wystąpiła urzędownie na kongresie międzynarodowym delegacya polska, którą zresztą pomieszczono w grupie austryackiej, gdyż zapisali się do niej tylko dziennikarze galicyjscy. Węgrzy przyjmowali Polaków bardzo uprzejmie, w mowach i toastach wyrażali im swoje współczucie, muzyka na bankiecie uroczystym grała: »Jeszcze Polska nie zginęła«. P. Merunowicz, który był uczestnikiem kongresu, opowiada w *Gazecie narodowej* o tych sympatyach madziarskich:

»Miło to było nam, że na każdym kroku spotykaliśmy się u Madziarów z objawami najwyższej sympatyi — i to zarówno w klasach oświeconych, jak i w masach ludowych.

Sympatya ta jest tradycyjnie pielęgnowaną z pokolenia w pokolenie. Dość powiedzieć, że na mocy rozporządzenia ministeryalnego we wszystkich szkołach węgierskich ex officio muszą dzieci uczyć się wraz z narodowemi pieśniami ojczystemi, także na węgierskie przetłómaczonych pieśni: »Jeszcze Polska nie zginęła!« i »Boże coś Polskę«. Oprócz tych pieśni polskich tylko francuzka »marsylianka« ma miejsce zapewnione w urzędowych śpiewnikach szkolnych. Po toaście na cześć narodu polskiego, chórem odśpiewali też dziennikarze madziarscy, reprezentujący najrozmaitsze obozy partyjne, pieśni polskie z zapałem«.

Rozmawiając z dziennikarzami węgierskimi pytał ich p. Merunowicz: czem objaśniają te sympatye dla Polaków. »Nie zastanawiałem się nad tem — odpowiedział jeden z zapytanych — każdy Węgier od urodzenia wie, że Polaków uważać ma za braci, i basta. Czy te uczucia zrodziły się pod wpływem braterstwa broni z r. 1848, lub wspólnego ucisku przez centralizacyę niemiecką, czy może sięgają te tradycye jeszcze dalej, w minione wieki walk z Turkami — nie wiem. Dość, że są one niejako wrodzone w duszy każdego Madziara. A może nas łączą wspólne nadzieje i rachuby na przyszłość: ewentualność (?) utworzenia pod berłem Habsburgów wału ochronnego dla Europy zachodniej od potęg Wschodu, wału, sięgającego od wybrzeży Adryatyku do morza Baltyckiego«.

Wszystko to być może, ale z pewnością w tych objawach sympatyi najważniejszą gra rolę chęć zjednania sobie gości. Wkrótce potem przyjmowano w Peszcie bardzo uroczyście i osypywano dowodami życzliwości dziennikarzy rosyjskich, którzy przybyli na wystawę. Te odwiedziny nie w smak poszły dziennikom słowiańskim, a zwłaszcza słowackim *Narodnim Nowinom*, które oburzały się na Polaków za to, że się bratają z Madziarami. Dziennik słowacki chce oszczędzić czytelnikom swoim rozczarowania i nie waha się fałszywie twierdzić, że do Pesztu przyjechali z Rosyi tylko żydzi. Tak nie jest, bo chociaż między gośćmi są i żydzi, których wogóle nie brak w prasie rosyjskiej, to są i rodowici Rosyanie. Pp. Prokofjew, Wasilewskij, Iljicz nic nie mają wspólnego z żydami. Zresztą i artykuły w dziennikach rosyjskich, wyrażające współczucie dla uciśnionych braci Słowian, piszą często żydzi, o czem *Narodnie Nowiny* wiedzieć powinny.

KRONIKA BIEŻĄCA.

= Korespondent pisma rosyjskiego *Syn otieczestwa* podaje ciekawą, ale nieprawdopodobną wiadomość że w miejscowościach pogranicznych gub. płockiej żydzi werbują młodych ludzi do wojska. Do jakiego — niewiadomo. Jedni mówią że do włoskiego, drudzy że gdzieś do Ameryki, inni wreszcie twierdzą, że werbunek odbywa się na rzecz Anglii. Agenci wyszukują takich, którzy służyli w wojsku i obiecują im znaczne wynagrodzenie. Zwerbowano już jakoby około 1500 ludzi.

= W Poznaniu w r. b. uczęszczało do 3 szkół średnich i 6 miejskich 8984 dzieci.

= W okręgu świeckim kandydat polski Jaworski otrzymał 15 głosów więcej niż Niemiec Holtz, odbędą się jednak wybory ponownie, bo 17 głosów oddano na innych kandydatów, wskutek czego brakuje Jaworskiemu 2 głosów do większości bezwzględnej.

= *Frankf. Zeitung* donosi, że Mikołaj II zachorował na żółtaczkę wskutek doznanych zmartwień.

= Do Pesztu przybyła deputacya od 200.000 Rusinów-unitów w Węgrzech z prośbą, żeby zaprowadzono w nabożeństwie zamiast cerkiewno-słowiańskiego i ruskiego — język madziarski.

= *Robotnik* podaje szczegóły o majątku Hurki, świadczące, jak zyskownym interesem jest polityka rusyfikacyjna. Obejmując posadę generał-gubernatora miał Hurko majątek ziemski w gub. twerskiej i 100.000 rs. kapitału. Obecnie po 10-letnim pobycie w Warszawie, ma w banku państwa 600 000 rs. w akcyach towarzystwa żeglugi na Dnieprze 100·000 i w rentach francuskich, (na imię żony) milion franków. Oprócz tego nabył przez ten czas w gub. twerskiej 14 folwarków.

= Wyszedł numer okazowy *Gazety ostrowskiej*, pisma przeznaczonego dla powiatów ostrowskiego, odolanowskiego, krotoszyńskiego i sąsiednich.

= Niemiec, właściciel ziemski z pod Ziębic (Münsterberg) na Śląsku sprowadza Chińczyków na roboty letnie, bo nie chce mieć z Polakami żadnych stosunków,

= Pisma poznańskie oburzają się na Towarzystwo wyścigowe krakowskie, które przysłało do rozlepiania na rogach ulic w Poznaniu plakaty w języku niemieckim. Nie jest to nawet nowy koncept sportsmanów krakowskich bo przed dwoma laty urządzili taką samą sztukę.

= Na budowę szkoły polskiej w Białej złożył prof. Bujwid 2.310 zł. 68 centów, zebrane w zaborze rosyjskim, głównie w Warszawie dla uczczenia 30-letniej rocznicy działalności literackiej Asnyka.

= Ks. Smolikowski, generał zgromadzenia Zmartwychwstańców wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych dla zbadania stosunków kościelnych w parafiach polskich.

= W Cieszynie od lipca wychodzić zacznie co dziesięć dni nowe pismo p. t. *Świt*. Redaktorem odpowiedzialnym będzie p. Kopciński, kierownikiem zaś głównym pisma — p. Wacław Naake-Nakęski.

= Zlot sokołów w Krakowie udał się świetnie. Przybyło z górą 1500 osób, w tej liczbie 59 Sokołów z Wielkopolski, 6 gości z Czech i 6 delegatów ruskich.

= P. Dzierżykraj-Morawski sprzedał komisyi kolonizacyjnej dobra Czeluścin w pow. gostyńskim, mające 810 hektarów obszaru.

— Pisma niemieckie napadają na ks. Maliskiego z Mroczna (Prusy Zachodnie), że z ambony powiedział do parafian: „przysyłajcie dzieci na naukę religii, bo w szkołach wbijają im tylko głupstwa w głowy; wiecie, że szkoły dbają jedynie o niemczyznę, a to na nic wam się nie zda“. Księdza oskarżyli obecni w kościele nauczyciele.

= Przy obliczeniu ulg podatkowych z powodu koronacyi, wykazano że Królestwo płaci 7,956·425 rs. podatku gruntowego, kiedy cała Rosya wraz z krajem zabranym zaledwie 15,627·469 rs.

= Policya poznańska zabroniła podczas uroczystości „Wianków“ śpiewania pieśni „Boże coś Polskę“ i „Z dymem pożarów“. Zakaz opiera się na rozporządzeniu, wydanem w r. 1863.

= W Lęborku sędzia odmówił świadkowi Polakowi wezwania tłómacza. „Jesteśmy w sądzie niemieckim — powiedział — każdy więc powinien mówić po niemiecku “

= Śledztwo w sprawie katastrofy na polu Chodyńskiem zostało na rozkaz cara przerwane.

= Piotr Chmielowski, którego, jak się okazuje aresztowano z błahego powodu — wzmianki o nim w liście jakiejś pensyonarki — został, ze względu na stan zdrowia, uwolniony i otrzymał pozwolenie na wyjazd do Zakopanego.

= W pismach polskich zjawiają się od pewnego czasu dosyć często listy Niemców, przeważnie kupców, którzy zaręczają, że do towarzystwa H. K. T. nie należą. Gdyby ludność nasza hakatystów „bojkotować“ zaczęła, towarzystwo straciłoby wkrótce znaczną liczbę członków.

= We Lwowie od kilku tygodni trwa ogólny strejk stolarski.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego. Wydawca i odpowiedzialny redaktor dr. Ernest Adam.